



GIOVANNI BOCCACCIO

---

**Dekameron, Dzień  
ósmy**



GIOVANNI BOCCACCIO

DEKAMERON

## Dzień ósmy

TŁUM. EDWARD BOYÉ

Promienie słońca zabłysły już na szczytach najwyższych gór w niedzielny ranek, mrok zniknął i najdrobniejszy przedmiot dobrze już rozeznaczyć można było, gdy królowa z całym towarzystwem, ze snu powstawszy, odbyła krótką przechadzkę po rośnej trawie, a potem w połowie trzeciej godziny dnia<sup>1</sup> udała się z całym gronem do pobliskiego kościółka. Po wysłuchaniu mszy powrót do domu nakazała. Po wesołym, odświętnym obiedzie trwały przez pewien czas śpiewy i tańce, po czym królowa pozwoliła wszystkim użyć spoczynku lub rozrywki, wedle woli. Gdy zaś słońce połowę swej drogi przebyło, zebrali się wszyscy, zgodnie z rozkazem królowej, koło fontanny, zasiedli w zwykłym porządku i Neifile, której zaczynać wypadło, w te słowa się odezwała:

### OPOWIEŚĆ PIERWSZA. PRZYKRY ZAWÓD

*Gulfardo pożycza od Gasparruola pieniądze, po czym umawia się z jego żoną, że zapłaciwszy jej dwieście dukatów, noc z nią spędzi. Gulfardo wręcza jej pieniądze. Po kilku dniach w przytomności Gasparruola mówi, że oddał jego żonie cały dług.*

— Jeżeli już się tak podobało niebu, abym w dniu dzisiejszym ja początek dała, tedy<sup>2</sup> chętnie się temu poddam i biorąc pochop z owych wybornych figłów, które w opowieściach waszych białogłowy mężczyznom płatały, dla odmiany opowiem, co pewien mężczyzna jednej białogłowie uczynił. Nie myślę jednak owego mężczyzny ganić ani twierdzić, że niesłusznie dostało się owej białogłowie, owszem, postępek jego chcę pochwalić, zganić zaś ową niewiastę, a zarazem pokazać wam, że nie brak mężczyzn wyprowadzających w pole tych, co im zaufali, tak jak i sami okpiwani są przez tych, w których ufność położyli. Po prawdzie wszakże, nazywając rzecz po imieniu, należałoby tu mówić nie o zakpieniu, ale o zasłużonej karze. Niewiasta bowiem winna być bezwzględnie uczciwą, a czystości swojej strzec jako życia własnego i za nic w świecie do plamy na niej nie dopuścić. Gdy zaś tego, dla słabości płci naszej, nie da się w pełni zachować, jakby należało, twierdzę, że na stos zasługuje taka, co za pieniądze da się przywieść do upadku. Bo jeśli miłość to sprawi, dając poznać swą niezmierną potęgę, to sędzia nie nazbyt bezwzględny przebaczyć winnej nie omieszka, jak to niedawno przedstawił Filostrato, opowiadając o przygodzie pani Filippy z Prato.

„Żył niegdyś w Mediolanie pewien Niemiec, parający się jako najemnik żołnierką, imieniem Gulfardo. Uchodził on za wielce odważnego człowieka i odznaczał się wielką wiernością wobec pana, któremu służył, co nie jest rzeczą zwykłą u ludzi należących do jego nacji. Ponieważ miał zwyczaj zaciągnięte długi spłacać rzetelnie, znajdował więc bez trudności za skromnym procentem pieniądze, ilekroć mu ich tylko było potrzeba.

Dzielny ten żołnierz zakochał się w pewnej urodziwej damie, imieniem Ambruogia, żonie Gasparruola Cagastaccio, bogatego mediolańskiego kupca, z którym żył w poufających i przyjaznych stosunkach. Afekt swój tak zręcznie skrywać umiał, że mąż ani nikt

<sup>1</sup>trzecia godziny dnia — tj. około 8.00 rano; niegdyś liczono godziny od wschodu słońca, kiedy to odbywało się pierwsze nabożeństwo, jutrznia. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

w ogóle namiętności jego do pięknej damy nie spostrzegł. Po jakimś czasie odważył się wyrazić jej swoje uczucie i błagać ją o wzajemność, dodając, że dla pozyskania jej łask gotów jest wszystko uczynić. Piękna pani, po długich ceregielach, przychyliła się wreszcie do próśb jego pod warunkiem, że zachowa najgłębszą tajemnicę, a jako człek bogaty da jej dwieście dukatów, których jej właśnie potrzeba.

Niemile dotknęła Gulfarda ta niska chciwość damy, o którą nigdy jej nie podejrzewał. Niewiele już brakowało, aby miłość jego we wstręt się zamieniła; namyślił się jednak, nie dał nic poznać po sobie, a w duchu postanowił damę w pole wywieść.

Dlatego też kazał jej oznajmić, że chętnie na warunki jej przystaje i że wszystkie jej życzenia wypełni, prosi jeno<sup>3</sup>, aby uwiadomiła go, kiedy ma przybyć. Przyniesie wówczas żadaną sumę. Nikt o niczym wiedział nie będzie krom<sup>4</sup> jednego z jego przyjaciół, na którym całkowicie polega i który zawsze mu towarzyszy, dokądkolwiekby się nie udawał.

Niegodziwa dama z wielkim ukontentowaniem te jego słowa przyjęła, po czym przez służkę dała mu znać, że mąż jej, Gasparruolo, wkrótce dla załatwienia kilku ważkich spraw do Genui się udaje, a wtedy ona go uprzędzi i do siebie zawezwie.

Wówczas Gulfardo, wybrawszy stosowną porę, udał się do Gasparruolo i rzekł doń:

— Potrzeba mi dwustu złotych dukatów. Mniemam, że pożyczycie mi te pieniądze na takie same procenty, jakie płaciłem wam przy dawniejszych pożyczkach.

Gasparruolo odliczył mu natychmiast żadaną sumę, a po upływie kilku dni do Genui wyjechał. Po jego wyjeździe dama posłała do Gulfarda służkę z uwiadomieniem, że może przybyć dla wręczenia jej dwustu dukatów.

Gulfardo, w towarzystwie przyjaciela, udał się do domu oczekującej go damy. Przede wszystkim w obecności świadka wyliczył jej na rękę dwieście dukatów, po czym rzekł:

— Weźcie, pani, te pieniądze i wręczcie je swemu mężowi po jego powrocie.

Dama przyjęła pieniądze, nie domyślając się, dlaczego Gulfardo słowa te wyrzekł. Mniemała, że Gulfardo chce w ten sposób oczy swemu przyjacielowi zamydląć.

— Ochotnie je wręcę — odrzekła — trzeba je tylko przeliczyć.

Rzekłszy to, położyła pieniądze na stół, przeliczyła je i widząc, że ani jednego dukata nie brak, poszła schować złoto; po czym wprowadziła Gulfarda do sypialnej komnaty. Gulfardo do czasu powrotu Gasparruolo niejedną miłą noc z jego żoną spędził.

Gdy Gasparruolo powrócił, Gulfardo odwiedził go i rzekł doń w przytomności<sup>5</sup> damy:

— Nie zużyłem na nic tych pieniędzy, któreś mi niedawno pożyczył. Zaraz po twoim wyjeździe odniosłem je żonie twojej, dlatego też nic ci już winien nie jestem.

Gasparruolo, obróciwszy się do żony, zapytał, zali<sup>6</sup> pieniądze otrzymała? Dama, mając w pamięci, że pieniądze przyjęła przy świadku, pojęła, że zaprzeczyć nie sposób. Dlatego też odparła:

— Tak jest w samej rzeczy. Pieniądze znajdują się u mnie, zapomniałam ci jeno powiedzieć o tym.

— Dobrze zatem — rzekł Gasparruolo — idź z Bogiem, Gulfardo, a ja skreślę twój rachunek.

Po odejściu Gulfarda wykpiona białogłowa oddała swemu mężowi dwieście dukatów, cenę swej niegodziwości. W ten sposób chytry miłośnik podszedł chciwą damę, nie straciwszy ani grosza<sup>7</sup>.

## OPOWIEŚĆ DRUGA. PRZYPADKI PROBOSZCZA Z VARLUNGO

*Proboszcz z Varlungo, przespawszy się z żoną kmięcia, swój płaszcz w zastaw jej oddaje, po czym pożyczka od niej moździerz i odsyłając go, prosi o zwrot płaszcza, zostawionego jako zastaw. Niewiasta płaszcz oddaje, cięte dorzucając słowo.*

<sup>3</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>w przytomności (daw.) — tu: w obecności. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

Wszyscy jednogłośnie pochwalili chytrą sztuczkę, którą Gulfardo chciwej mediolańskiej damie wypłatał. Po czym królowa, obróciwszy się z uśmiechem do Panfila, opowiadać mu kazała.

Panfilo zaczął w te słowa:

— Piękne damy! Przychodzi mi na myśl historia dotycząca owych filutów, którzy raz po raz szkody nam czynią, gdy my odwzajemnić się im tą samą miarą nie możemy. Myślę o księżach. Gromią oni żony nasze i tylko wówczas skłonni są dać odpust za wszystkie grzechy, jeśli uda im się jedną z niewiast naszych powolną sobie uczynić. Wierę<sup>7</sup>, pomyśleć by można, że w Awinionie nie papież, jeno<sup>8</sup> aleksandryjski sułtan siedzi<sup>9</sup>.

My, ludzie świeccy, nie zdołamy im nigdy równą monetą odpłacić, choćbyśmy z równą ich zapałowi gorliwością starali się mścić na ich matkach, siostrach, córkach i miłośnicach. Na dowód, jak można księżemu słowu wierzyć, chcę wam opowiedzieć ludową historię, niebogatą w fantazję, ale wedle mego zdania, wielce krotochwilną<sup>10</sup>, zwłaszcza w konkluzji.

„W Varlungo, wiosieczce, jak wiecie, niedaleko stąd położonej, żył niegdyś proboszcz, tęgi i chwacki mąż, będący wielkim niewiast lubownikiem<sup>11</sup>. W czytaniu i pisaniu niezbyt celował, umiał jednak w dni świąteczne pod cieniem wiązu świętym słowem krzepić gromadkę swoją. Gorliwość jego kapłańska objawiała się szczególnie w stosunku do białogłowa, które pod nieobecność ich mężów pilnie odwiedzał, przynosząc im zawsze w podarunku jakiś obrazek, wodę święconą, ułamek poświęconej gromnicy pospołu z swoim błogosławieństwem. Między owieczkami, z których wiele już doń należało, wpadła mu w oko szczególnie jedna, imieniem Belcolore, żona gospodarza, zwanego Bentivegna del Mazzo. Była to bardzo wesoła, świeża, czarniutka i jędrna białogłowa, zaprawiona w tarcu na żarnach lepiej niż jakakolwiek inna. Umiała grać na cymbałach i uchodziła we wsi za najlepszą śpiewaczkę, nikt bowiem tak jak ona nie umiał zanucić: »Leci woda, leci na zielone pole« lub zawieść<sup>12</sup> *ridde*<sup>13</sup> czy *ballonchio*<sup>14</sup>, wdzięcznie chusteczką powiewając. Dla tych wszystkich przymiotów zadurzył się w niej nasz ojciec duchowny, i to tak zapalczywie, że cały dzień myślał tylko o niej i włóczył się po polach, wypatrując, gdzie by ją spotkać można było. Kiedy zaś w niedzielę rano spostrzegł ją w kościele, to natęzał się tak przy śpiewaniu *Kyrie* i *Sanctus*, że przysiąc by było można, iż się słyszy ryczącego osła. Przy tym wszystkim był o tyle ostrożny, że Bentivegna del Mazzo ani żadna z sąsiadek jego niczego się nie domyślali.

Dla pozyskania łask Belcolory proboszcz od czasu do czasu obdarzał ją to wiązką świeżego czosnku ze swego ogrodu, sławnego na całą okolice, który sam uprawiał, to znów pełnym koszem zielonego bobu lub młodych cebulek majowych. A gdy mu się gdzieś na stronie przydybać ją udało, przymilał się do niej, to znów wyrzuty czynić jej zaczynał. Białogłowa udawała, że nic nie rozumie, i zachowywała się względem niego tak obojętnie, iż czcigodny pasterz do rozpacz prawie dochodził. Pewnego dnia zdarzyło się, że proboszcz, przechadzając się z założonymi rękoma po polu, spotkał Bentivegna del Mazzo, pędzącego przed sobą osła objuconego mnóstwem przedmiotów, i zaczął go pytaniem, dokąd zmierza.

— A gdzieżby — odpowiedział Bentivegna — jeśli nie do miasta? Wiozę te rzeczy w podarunku panu Bonaccorri da Ginestreto, muszę bowiem szukać u niego poparcia w pewnej sprawie, w której pan prokurator sądu do siebie mnie wzywa i niechybnie stawić się przykazuje.

Proboszcz, pełen radości z tak szczęśliwego rzeczy obrotu, zawołał:

<sup>7</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>w Awinionie nie papież, jeno aleksandryjski sułtan siedzi — mowa o okresie rezydowania papieży w Awinionie; tzw. "niewoli awiniońskiej" (1309-1377). [przypis edytorski]

<sup>10</sup>krotochwilny (daw.) — zabawny. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>lubownik (daw.) — miłośnik. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>zawieść taniec — tu: poprowadzić taniec. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>ridda — tradycyjny ludowy taniec włoski, którego nazwa podkreśla element kręcenia się w kółko, wirowania. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>ballonchio — tradycyjny ludowy taniec włoski z podskokami. [przypis edytorski]

— Dobrze robisz, mój synu, radząc sobie w ten sposób! Przyjmij błogosławieństwo moje, ruszaj i wracaj prędko, a jeśli zobaczysz po drodze Lapuccia albo Naldina, nie zapomnij im powiedzieć, żeby mi jak najspieszniej rzemienie do cepów przysłali.

Bentivegna obiecał to uczynić i pojechał dalej. Proboszcz zasię<sup>15</sup>, ujrawszy oddalającego się w stronę Florencji, pomyślał, że teraz sposobna chwila nastąpi, aby zająć do Belcolory i szczęścia u niej spróbować. Nie zwlekając tedy<sup>16</sup>, wziął nogi za pas i co tchu w piersiach popędził do domu swej umiłowanej. Wszedłszy do sieni, zawołał:

— Pokój temu domowi! — Nie usłyszawszy odpowiedzi dodał: — Cóż to, zali<sup>17</sup> nie ma tutaj nikogo?

Belcolore, znajdującą się w tej chwili na stryszkach, odrzekła:

— Ach! To wy, panie, witajcie! Cóż was na taki skwar z domu wygania?

— Ech! na moją duszę — zawołał proboszcz — cóż by innego, jeśli nie chęć przepędzenia z tobą radosnej chwili w czasie nieobecności męża twego, którego spotkałem na drodze do Florencji!

Gdy tych słów domawiał, Belcolore zeszła ze stryszku, usiadła na ławie i poczęła przebierać konopne nasienie, które mąż jej zebrał przed kilku dniami.

Proboszcz, tą jej obojętnością do żywa dotknięty, zawołał:

— Belcolore, Belcolore, długoż mnie jeszcze w ten sposób zwodzić będziesz?...

— A cóż ja wam złego robię? — spytała śmiejąc się białogłowa.

— Nic mi nie robisz — odrzekł proboszcz — ale i mnie nie pozwalasz robić z tobą tego, czego bym gorąco pragnął i co samo niebo nakazało.

— No, no! — zawołała Belcolore. — Co też powiadacie! Czy i duchowne osoby podobne rzeczy czynią?

— Wiedz, że tak, i to lepiej od innych mężczyzn — odrzekł proboszcz. — Dlaczegooby zresztą inaczej być miało? Nie mamyż wszystkiego, co ku temu potrzebne? Sposobniejsi nawet jesteśmy do tej roboty od innych, bo rzadziej się jej imamy<sup>18</sup>. Uwierz mi, że nie wyszłoby ci to na złe, gdybyś mi wstrętów nie czyniła.

— I cóż bym z tego miała? — odrzekła Belcolore. — Wiadoma to rzecz przecie, że wy wszyscy skąpsi jesteście od samego diabła.

— Ja skąpcem nie jestem — odparł proboszcz. — Wkrótce zresztą dowodnie się o tym przekonasz. Czego byś pragnęła? Pary trzewików, przepaski, sztuki pięknej materii? Żądaj tylko, a wszystko dać ci jestem gotów!

— Nie — rzekła Belcolore — to wszystko i ja posiadam, aliści<sup>19</sup> jeżeliście naprawdę tak dla mnie łaskawi, jak powiadacie, uczynicie mi inną przysługę, a ja za to odwdzięczę się wam wedle woli waszej.

— Mów tylko — zawołał proboszcz — a wszystko uczynię!

— Otóż — zaczęła Belcolore — w sobotę muszę jechać do Florencji dla oddania motków, które naprzędłam, i dla naprawy kołowrotka; przy tej sposobności mogłabym wyjąć z zastawu granatowy kaftanik i świąteczny pas skórzany ze sprzączką, który przyniosłam mężowi w posagu. Bez tych rzeczy nie mogę się nigdzie wśród ludzi pokazać ani do kościoła pójść w odpust. Na wykup potrzeba mi tylko pięciu lirów. Pożyczcie mi tych pięć lirów, bo wiem, że je macie, a potem żądajcie, co wam się podoba.

— Przysięgam ci — odrzekł na to proboszcz — że nie mam tylu pieniędzy przy sobie. Daję ci jednak słowo, że przed sobotą jeszcze będziesz miała pięć lirów.

— Ech! — zawołała Belcolore — obiecanka, cacanka!... Znam ja wasze obietnice i wiem, jak dotrzymujecie słowa! Myślicie, że dam się tak na hak przywieść jak Biliuzza, którąście z kwitkiem odprawili, aby się później na nic rozpuściła... Oho, nic z tego, dalipan! Jeżeli nie macie tych pieniędzy przy sobie, tedy idźcie po nie.

— Ach! — rzekł błagalnie proboszcz — nie wysyłaj mnie teraz do domu! Trafiłem na szczęśliwą porę, kiedy tu nikogo nie ma; kto wie, czy za powrotem nie znajdę jakiegoś natręta, który mi ukradnie tę drogą sposobność. A podobna może nieprędko się przydarzyć.

<sup>15</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>tedy (daw.) — zatem. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>imać się — brać się (zabierać się) do czegoś, chwycić się za coś. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

— Dobrze, dobrze — odparła Belcolore — jeśli chcecie, idźcie, jeśli zaś nie chcecie, to zostańcie, ale w tym wypadku niczego ode mnie nie oczekujcie.

Proboszcz, widząc, że nic nie wskóra, i bojąc się, aby białogłowa nie zawołała *salvum me fac*<sup>20</sup>, podczas gdy on pragnął odbyć rzecz całą *sine custodia*<sup>21</sup>, rzekł wreszcie:

— Nie wierzysz mi, że ci pieniądze przyniosę? Ostawię ci zatem w zastaw ten płaszcz niebieski, który mam na sobie.

Belcolore podniosła oczy i rzekła:

— A ileż ten płaszcz wart?

— Ile jest wart? — zawołał proboszcz. — Trzeba ci wiedzieć, że skrojony został z bardzo przedniego sukna i że nie ma jeszcze czternastu dni, jak go kupiłem u Lotta za całych siedem lirów. Wart jest przynajmniej pięć soldów więcej, jak mnie zapewniał Buglietto, który jak wiadomo, na takich przedmiotach zna się na schwał.

— Doprawdy? — zawołała Belcolore. — Nigdy bym w to nie uwierzyła. Oddajcie mi go jednak najprzód.

Ojciec duchowny czując, że zbyt napięta cięciwa pęknąć może, zdjął płaszcz z siebie i oddał go białogłowie. Belcolore schowała go starannie, a potem rzekła:

— Chodźmy teraz na śpichrz, tam nam nikt nie przeszkodzi.

I poszli.

Wielebny ojciec przez długi czas jej wdziękami się cieszył i wśród najczulszych pieszczoł krewniaczką pana Boga ją czynił. Po czym w sutannie tylko, jak gdyby z jakiegoś wesela, do plebanii powrócił. Wszedłszy do komnaty zadumał się i obliczył, że wszystkie świeczki, ofiarowane przez wiernych w ciągu całego roku, i połowy sumy pięciu lirów nie wyniosą. Spostrzegł, że źle uczynił, i tak mu się żał zrobiło płaszcz oddanego w zastaw, że postanowił bez najmniejszej zapłaty go odebrać. Długo się głowił, aż wreszcie stosowny sposób wymyślił.

Następnego dnia, a było to właśnie w niedzielę, posłał chłopca służącego do mszy, syna sąsiada, do domu Bentivegna z prośbą, aby Belcolore była łaskawa pożyczyć mu kamienny moździerz, bowiem tego dnia będzie miał na obiedzie u siebie Binguccia del Pogigo i Nuta Buglietti, których chciałby słodkimi wetami<sup>22</sup> przyjąć.

Belcolore moździerz pożyczyła. Proboszcz poczekał do pory obiadowej. Przewidując, że Belcolore pospołu z mężem siedzieć już przy stole musi, zawołał chłopca i rzekł do niego:

— Weź ten moździerz, odnieś go Belcolore z powrotem i tak powiedz: »Ksiądz proboszcz dziękuje wam bardzo za pożyczenie i prosi o zwrot płaszcz, który tu chłopiec jego jako zastaw za moździerz wam wręczył«.

Chłopiec udał się do domu Belcolore, którą z mężem przy obiedzie zastał. Postawiwszy przed nią moździerz powiedział, co mu powiedzieć polecono. Belcolore widząc, jakiego figla chce jej proboszcz wypłatać, chciała odpowiedzieć, ale Bentivegna przerwał jej, wołając gniewnie:

— Co takiego? Śmiesz żądać zastawu od naszego czcigodnego proboszcza? Na mękę Chrystusową przysięgam ci, że bierze mnie niezmierna ochota potężnego szcztuka ci wymierzyć. Oddaj zaraz ten płaszcz, do stu czartów, i strzeż się w przyszłości coś podobnego uczynić! O cokolwiek by ojciec duchowny, choćby nawet o osła naszego, prosił, nie waz się mu odmówić.

Belcolore wstała od stołu, mrużąc gniewnie, potem otworzyła skrzynię, wyjęła ze złością płaszcz i oddała go chłopcu z tymi słowy:

— Powiedz ode mnie swemu panu, że Belcolore przysięga przed Bogiem, iż nigdy już dobrodziejowi nie pozwoli nic tłuc w swoim moździerzu!...

Bentivegna mniemał, że żona mówi to pod wpływem jego słów gniewnych, i wagi do tego nie przywiązywał.

Chłopiec zaniósł tę odpowiedź proboszczowi. Ten rozśmiał się i rzekł doń:

— Powiedz jej, gdy ją obaczysz, że jeśli ona mi już nigdy moździerza swego nie użyczy, to ja jej nigdy tłuczka mego nie dam; a jedno wszak warte jest drugiego.

<sup>20</sup>*salvum me fac* (łac.) — wybaw mnie; tu: ratunku. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*sine custodia* (łac.) — bez straży; tu: bez świadka. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*wety* (daw.) — deser. [przypis edytorski]

Przez długi czas po tej historii Belcolore na swego pasterza gniewne miny stroiła, gdy jednak w czasie winobrania proboszcz zagroził jej, że ją pośle wprost w samą paszczę Lucypera po śmierci, z wielkiego strachu pogodziła się z nim i w szopie zgodę przypieczętowała przy świeżym moszczu i pieczonych kasztanach. Aby ją zasię<sup>23</sup> całkowicie udobruchać, kazał jej dobry proboszcz dla odwetowania owych pięciu lirów tamburino nową skórą obciągnąć i dzwonek przy nim zawiesić, czym ją ostatecznie ułagodził.”

## OPOWIEŚĆ TRZECIA. POCZCIWY CALANDRINO

*Calandrino, Bruno i Buffalmacco szukają w Mugnone cudownego kamienia. Calandrino mniema, że go znalazł. Powraca tedy do domu z kupą kamieni. Zona łaje go. Calandrino, srodze rozdrażniony, bije ją, co się zmieści, po czym opowiada towarzyszom swoim o tym, o czym oni lepiej od niego wiedzą.*

Skoro opowiadanie Panfila — przy którym damy taki śmiech opanował, że dotąd jeszcze się śmieją — do kresu doprowadzone zostało, królowa z kolei na Elizę skinęła. Ta, wciąż jeszcze się śmiejąc, tak zaczęła:

— Nie spodziewam się, miłe towarzyszki, aby mi się udało moją krótką powieścią, równie krotochwilną<sup>24</sup>, jak prawdziwą, tak was rozśmieszyć, jak Panfilowi przed chwilą. Spróbuję jednak.

„W mieście naszym<sup>25</sup>, zawsze w różne obyczaje i dziwnych ludzi obfitującym, żył przed niedawnym czasem malarz, nazwiskiem Calandrino, człek prosty i dziwak wielki. Obcował on zwykle z dwoma innymi malarzami, z których jeden zwał się Bruno, a drugi Buffalmacco. Byli to dwaj zawołani figlarze — zresztą bystrzy i roztropni ludzie. Przebywali oni często z Calandrinem, aby się z jego prostoty naśmiewać i różne sztuczki mu płatać. W tym czasie mieszkał także we Florencji pewien przemysł, wesoly i przedsiębiorczy młodzieniec, wielki przygód lubownik<sup>26</sup>, nazwiskiem Maso del Saggio. Ten, zasłyszawszy o głupocie Calandrino, postanowił wyzyskać ją w żartobliwy sposób, wypłatać mu jakiegoś figla albo też wmówić w niego jakąś rzecz niepodobną do wiary. Pewnego dnia przydybał go przypadkiem w kościele Św. Jana, jak stał przed malowidłami i rzeźbami tabernaculum, które niedawno na ołtarzu w tym kościele ustawiono, i przypatrywał im się uważnie. Maso uznał tę chwilę za właściwą do urzędzenia zamierzonej krotochwili<sup>27</sup>. Upredziwszy więc towarzysza swego o tym, co mówić zamierza, zbliżył się wraz z nim do Calandrino i udając, że go nie spostrzega, zapuścił się z przyjacielem swoim w gorącą rozprawę o potędze czarodziejskiej pewnych kamieni.

Maso mówił tak wymownie, jak gdyby był wielkim i nieporównanym znawcą kamieni. Calandrino nadstawił ciekawie uszu, a po chwili przystąpił nawet do rozmawiających, spostrzegłszy, że nie idzie im o zachowanie tajemnicy. Maso tylko tego pragnął. Nie pokazawszy jednak nic po sobie, opowieść o zaczętych dziwach dalej ciągnął. Wreszcie Calandrino spytał, gdzie tak cudowne kamienie znaleźć można. Maso odparł, że największą ich ilość znaleziono dotąd w Berlinzone, w kraju Basków, w okolicy zwanej Bengodi; kraina ta znana jest stąd, że tam krzewy winne kielbasami podwiązują, a gęś za trojaka z gąsiątkiem w przydatku sprzedają. Na północ od niej znajduje się góra, cała z tartego parmezanu, na której stoją ludzie i niczym innym się nie zajmują, tylko wyrabianiem makaronu i nadziewanych pierogów. Gotują je w rosole z kapłonów i rzucają następnie przechodniom, aby je chwyтали, ile kto zdoła. U stóp tej góry zasię płynie strumień wybornego wernackiego wina, bez przymieszki choćby jednej kropli wody.

— O, cóż za cudowny kraj! — zawołał Calandrino — aliści<sup>28</sup> powiedz mi, co robią owi ludzie z tymi kapłonami, z których rosół do gotowania pierogów i makaronu czynią?

— Baskowie je zjadają — odrzekł Maso.

— Zaliś ty tam był kiedy? — spytał znowu Calandrino.

<sup>23</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>krotochwilny — żartobliwy, zabawny, wesoly. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>w mieście naszym — tj. we Florencji. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>lubownik (daw.) — miłośnik. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>krotochwila — żart, zabawa. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

- Czy tam byłem? — zawołał Maso. — Zapytaj, ile tysięcy razy!
- A ileż mil do tego miejsca? — badał Calandrino dalej.
- Mógłbym przysiąc, że więcej niż tysiąc — odparł Maso.
- Ba, to musi być dalej niż do Abruzzów — zauważył Calandrino.
- Tak, trochę dalej — rzekł Maso.

Głupi Calandrino słysząc o tych dziwach, wypowiedzianych przez Masa z poważną miną i bez śladu uśmiechu na twarzy, uwierzył im w zupełności i rzekł:

— Szkoda, że to dla mnie za daleko. Ach, dalibóg, gdyby choć trochę bliżej było, zaraz bym tam poszedł, choćby dla tej przyczyny, aby zobaczyć, jak makaron z góry leci, i najesć się do sytości. Wracając jednak do owych kamieni, proszę, abys powiedział mi łaskawie, czy nie znajdują się one i w naszych stronach?

— Owszem — odrzekł Maso — na dwa rodzaje ich, niemałą siłą przyrodzoną obdarzone, natrafiono tutaj. Pierwszy gatunek to kamienie młyńskie z Settignano i Montisci, posiadające tę czarodziejską własność, że młyny, do których są użyte, miały same bez pomocy wody lub wiatru. Stąd też przysłowie bardzo tam pospolite: »Łaski pochodzą od Boga, a dobre kamienie młyńskie z Montisci«. Kamienie te w takiej obfitości się tam znajdują, że tak mało wszyscy je cenią jak i szmaragdy, których całe góry, wyższe od gór Morello, napotkać w tamtych stronach można. Wydają one z siebie o północy taki blask, że niech Bóg bron i zachowaj! Trzeba ci także wiedzieć, iż kto by potrafił takie młyńskie kamienie nanizac w krąg, zanim się je przewierci, i zaniósł je wielkiemu sułtanowi, otrzymałby, czego by tylko zapragnął. Drugim gatunkiem kamienia cudownego, który trafia się w naszych okolicach, jest tak zwany przez nas, złotników, heliotrop, kamień obdarzony potężną i zadziwiającą siłą, kto go bowiem przy sobie nosi, niewidzialny jest dla wszystkich tam, gdzie go nie ma.

— Oto ci kamyczki na schwał! — zawołał Calandrino. — Gdzie, powiadasz, te drugie się znajdują?

— Najczęściej dotychczas trafiały się w Mugnone — odparł Maso.

— A wielkie są? I jaką barwę mają? — badał dalej Calandrino.

— Jeden jest większy, drugi mniejszy — odrzekł Maso — ale co się koloru tyczy, to wszystkie są jednakowe, czarne.

Calandrino zakonotował sobie dobrze wszystkie te nowinki, po czym udał, że mu się śpieszy do jakiejś roboty i pożegnał Masa z twardym zamysłem wybrania się na poszukiwanie owych kamieni. Pierwej jednak postanowił uwiadomić o wszystkim Bruna i Buffalmacca, których szczególnie miłował. Jął więc ich poszukiwać, ażeby nie tracić drogiego czasu po próżnicy i wszystkich wyprzedzić, aliści dopiero w południe znaleźć mu się ich udało w klasztorze mniszek, przy drodze do Faenzy, gdzie jakąś robotą zatrudnieni byli. Zziąjany, bo skwar był ogromny, bez tchu prawie przybiegł do nich, odciągnął ich na bok i rzekł:

— Przyjaciele, jeżeli tylko chcecie, możemy zostać najbogatszymi ludźmi w Florencji. Dowiedziałem się od pewnego wiarogodnego człeka, że w Mugnone znaleźć można pewien kamień, mający moc czynienia niewidzialnym posiadacza swego. Sądzę tedy<sup>29</sup>, że bez odwłoki powinniśmy wybrać się na poszukiwanie tego kamienia; obawiam się ustawicznie, aby nas ktoś nie uprzedził. Ani chybi znajdziemy go, bowiem jego cechy znam wybornie; gdy go już raz będziemy mieli, czegoż nam więcej będzie potrzeba? Włożymy go do mieszka, podejźmy do jednego z owych stołów wekslarskich, które się uginają pod ciężarem dukatów i innej monety, i każdy z nas nabierze tyle srebra i złota, ile tylko zechce. Nie zobaczy nas nikt. Takim sposobem w krótkim czasie wzbogacimy się i nie będziemy musieli już po całych dniach walczyć się farbą i jak pająki po rusztowaniach łązić.

Bruno i Buffalmacco, słysząc te niedorzeczne słowa, o mało mu w sam nos śmiechem nie parsknęli, pomiarkowali się jednak, spoglądając na siebie, udali wielce zadziwionych i jęli głośno jego zamiśl wychwalać. Następnie Buffalmacco spytał go, jak się ów kamyk nazywa?

Calandrino, lotnością myśli zgoła nieobdarzony, siłił się przypomnieć sobie, aliści po próżnicy, wreszcie zawołał:

<sup>29</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]



— Ech! co nas tam jego nazwa obchodzić może, dosyć na tym, że cechy jego i siłę znamy. Radzę zaraz w drogę wyruszać i szukać go.

— Dobrze, ale powiedz mi najpierw, jak on wygląda — rzekł Bruno.

— Kształt miewa rozmaity — odparł Calandrino — aliści prawie zawsze jest czarny. Moim zdaniem tedy, winniśmy zbierać wszystkie kamienie czarne, jakie nam w ręce wpadną, póki na właściwy nie natrafimy. Nie traćmy czasu, powiadam, nie traćmy czasu!

— Jeszcze chwileczkę — rzekł Bruno i zwracając się do Buffalmacca dodał: — Zamysł Calandrino ze wszech miar na pochwałę zasługuje, aliści obecna pora nie wydaje mi się stosowną do urzeczywistnienia go, słońce bowiem stoi wysoko, nad samą doliną Mugnone. Wszystkie kamienie, spieczone skwarem, białymi wydawać się będą, te nawet, które rano, słońcem nieosuszone, czarnymi się zdają. Krom<sup>30</sup> tego dzisiaj jest dzień powszedni, dużo więc ludzi zastaniemy w dolinie. Obaczywszy nas, łatwo odgadną, czego szukamy, i naśladować nas będą gotowi. Cudowny kamień, zamiast w nasze, w ich ręce wpaść gotów i wówczas cała rzecz będzie stracona. Wszystko to zważywszy, mniemam, waszego zdania nie przesądzając, że winniśmy wybrać godzinę poranną, w której daleko lepiej czarne kamienie od białych odróżnić można. Udamy się przy tym na miejsce w dzień świąteczny, kiedy w dolinie pusto bywa.

Buffalmacco przyznał słuszność rozumowaniu Bruna. Calandrino, chcąc nie chcąc, uczynił to samo. Umówili się tedy, że w najbliższą niedzielę rano wybiorą się wszyscy trzej pospołu, aby szukać cudownego kamienia; Calandrino zaklął ich na wszystkie świętości, aby nikomu słówka nie zdradzili z tej tajemnicy, którą mu powierzono w zaufaniu. Przy pożegnaniu opowiedział im jeszcze nowinki, które słyszał o kraju Bengodi, zaklinając się, że to wszystko święta prawda. Wreszcie odszedł. Wówczas dwaj pozostali uknuli między sobą spisek.

Nadeszła wreszcie oczekiwana gorąco przez Calandrino niedziela. O świcie porwał się Calandrino z łoża, przywołał swoich towarzyszy i wyruszył wraz z nimi w drogę. Wyszli z miasta przez bramę San Gallo, wstąpili w koryto rzeki i szukając cudownego kamienia, szli przed siebie. Niecierpliwym Calandrino wyprzedzał towarzyszy, skakał gwałtownie to tu, to tam, a gdy gdzie jaki czarny kamień zoczył, rzucał się nań, porywał go z ziemi i za pazuchę chciwie pakował. Towarzysze jego szli za nim i także od czasu do czasu kamienie podnosili, aliści<sup>31</sup> nie tak często jak Calandrino. Toteż gdy ledwie kilkadziesiąt kroków przebyli, Calandrino miał już całe piersi kamieniami obłożone, tak że w końcu był zmuszony podgiąć obszerne poły swojego kaftana, końce zatknąć za pas i tym sposobem zrobić sobie z niego rodzaj wora. Ale i ten schówek tak się wkrótce przepelnił, że trzeba było z płaszcza nową sakwę uczynić. Niedługo i w niej miejsca zabrakło.

Tymczasem nadeszła godzina obiadowa. Wówczas Bruno i Buffalmacco, widząc obładowanego Calandrino, trącili się łokciami. Bruno, zgodnie z umową, zawołał zwracając się do Buffalmacca:

— Gdzie się podział Calandrino?

Buffalmacco, mimo że miał go tuż przed nosem, obrócił się, spojrzął na lewo i prawo i wreszcie rzekł:

— Dalibóg, że nie wiem! Przed chwilą jeszcze był tu przed nami.

— To prawda — odrzekł Bruno. — Ani chybi zażartował z nas sobie, wrócił do domu, je teraz spokojnie obiad i śmieje się z nas, że tutaj, jak głupcy, kamienie czarne zbieramy.

— Jeśli tak uczynił — rzekł Buffalmacco — to miał słuszność, bo istotnie trzeba było być dudkiem, aby uwierzyć temu, co nam opowiadał. Komuż by, krom nas, w głowie pomieścić się mogło, że podobnie cudowny kamień znajduje się w dolinie Mugnone?

Calandrino, słuchając tych słów, topniał z radości, był bowiem upewniony, że pożądanym kamień ma między innymi w kieszeni i że dlatego właśnie towarzysze go nie widzą, chociaż jest tuż obok. Zachwycony tym szczęśliwym wypadkiem, postanowił, nie odpowiadając ani słowa, co żywiej do domu powrócić. Z tym zamysłem cichymi krokami wymykać się począł. Widząc to, Buffalmacco rzekł do Bruna:

— Cóż tu dłużej mamy robić? Chodźmy i my do domu.

<sup>30</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

— Chodźmy — odrzekł Bruno — ale klnę się na Boga, że mi już nigdy Calandrino podobnego figla nie wypłata. Ach, gdybym go teraz miał przed sobą tak blisko, jak niedawno go jeszcze miałem, wałnąłbym go tym kamyczkiem w piętę, aby popamiętał na długo, co to znaczy kpić sobie ze mnie.

To mówiąc, trzymanym w rękę kamieniem ugodził w nogę Calandrina.

Calandrino poczuwszy ból syknął lekko, pohamował się jednak natychmiast, poskrobał w obolałe miejsce i ruszył dalej w milczeniu.

Tymczasem i Buffalmacco pochwycił jeden z uzbieranych kamieni i zawołał do Bruna:

— Spójrz no, jaki śmigły krzemyk! Ach, gdybym tak mógł nim trzasnąć Calandrina w żebra.

Rzekłszy te słowa ugodził nader celnie w bok ofiarę swoją.

Słowem, przygadując bez ustanku, rzucali kamieniami w Calandrina od Mugnone aż do bramy San Gallo. Przybywszy tam, wysypali wszystkie uzbierane kamienie na ziemię i dali umówiony znak strażnikom przy bramie, którzy, dusząc się od śmiechu, przepuścili Calandrina, jak gdyby był dla nich całkiem niewidzialny.

Calandrino czym prędzej udał się do swego domu na rogu Młyńskiego Kamienia. Los tak krotochwilnikom<sup>32</sup> sprzyjał, że nikt naszego szczęśliwca po drodze nie zaczepił. Zresztą, jako że to pora południowa była, wszyscy w domach przebywali.

Calandrino, objuczony, dopadł wreszcie do swego domu. Przypadek zdarzył, że na progu stała żona jego, imieniem Tessa, urodziwa i rozumna białogłowa. Tessa, zagniewana, że się na obiad spóźnia, przyjęła go okrzykiem:

— No, klejnocie! Wreszcie cię diabli przynoszą. Cały świat się zdąży najęść, zanim ty do stołu zasiądziesz.

Calandrino na te słowa stanął osłupiały i pomyślał, że kamień cudowny wobec żony siłą swą utracić musiał. W pierwszym zapędzie gniewu zawołał tedy<sup>33</sup> z wściekłością:

— Biada mi! Trzebaż było właśnie tej jędzy na progu! Zgubiłaś mnie, hultajko! Ale jak Bóg na niebie, zapłacisz mi za to!

To rzekłszy wpadł do izby, wysypał ową kupę kamieni, którą ze sobą przydźwigał, a następnie rzucił się z wściekłością na żonę, schwycił ją za warkocz, obalił na ziemię i okładać co sił począł, nie zważając na jej błagania i jęki. Bił ją tak, dopóki jej wszystkich kości nie policzył.

Tymczasem Buffalmacco i Bruno strawili chwilę czasu na żarty ze strażnikami przy bramie. Idąc wolnym krokiem za Calandrinem, przybyli przed dom jego udając, że dopiero teraz nadeszli. Słyszając, co się dzieje, zawołali nań. Calandrino, opływający potem, czerwony na twarzy i bez tchu w piersiach, przystąpił do okna i poprosił ich, aby weszli do środka.

Dwaj figlarze, przybrawszy obrażone miny, weszli na górę, gdzie ujrzeni w jednym kącie izby stos kamieni, a w drugim biedną żonę Calandrina z rozczochranymi włosami, pokrytą sińcami na całym ciele i płaczącą głośno. Na środku stał Calandrino w rozpiętej odzieży, sapiąc i chwiejąc się na nogach. Na ten widok Bruno i Buffalmacco udali z początku mocne zdziwienie, a potem zawołali:

— Cóż to wszystko ma znaczyć, Calandrino? Zali kamieniarzem chcesz zostać? Na co ci ta kupa kamieni? A z panią Tessą co się dzieje? Kto ją tak oporządził? Wytłumacz nam, co się tu stało?

Calandrino chciał odpowiedzieć, aliści znużenie, wściekłość i srogie strapienie z powodu utraconego szczęścia mowę mu odebrały. Płatał się w słowach i oddech z trudnością chwytął. Buffalmacco, korzystając z chwili milczenia, rzekł w te słowa:

— Jeśliś miał inny powód do gniewu, Calandrino, to przecze<sup>34</sup> na nas niewinnych złość swą wywarłeś? Wierę<sup>35</sup>, tak się nie godziło. Wyprowadziłeś nas na poszukiwanie jakiegoś czarodziejskiego kamienia, a potem, nie powiedziawszy nawet »Zostańcie z Bogiem« lub »Idźcie do kaduka«, odszedłeś i zostawiłeś nas niby durniów w korycie rzeki! Aliści bądź pewny, że pierwszy i ostatni raz podobnego figla spłatać ci się nam udało.

Na te słowa Calandrino zebrał wszystkie siły i zawołał:

<sup>32</sup>krotochwilnik (daw.) — żartowniś. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>przecze — czemu, czemuż; dlaczego. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

— Nie gniewajcie się na mnie, towarzysze! Rzecz się ma zgoła inaczej, niżli sądzicie. Jakże jestem nieszczęsny. Wiedźcie, że znalazł ów szacowny wielce kamień. Na dowód prawdy mych słów powiem wam, iż w chwili gdyście się za mną oglądali, znajdowałem się nie dalej jak o dziesięć kroków od was. Przez cały czas drogi, aż do miasta, szedłem tuż przed wami, nie będąc przez was widziany.

I tu jął<sup>36</sup> opowiadać im wszystko od początku aż do końca, pokazał im plecy i pięty, pobite krzemieniami, i tak ciągnął dalej:

— Nie dosyć na tym! Gdy z kupą kamieni, które tutaj widzicie, przechodziłem przez bramę, nikt mi ni słowa nie powiedział, choć dobrze wiadomo wam, jak naprzykrzeni zwykle strażnicy bywają i jak muszą obmacać człeka na wszystkie strony, zanim go przepuszczą. Jawną jest tedy rzeczą, że mnie widzieć nie mogli. Później spotkałem na drodze kilku przyjaciół i towarzyszy, którzy zawsze, ujrawszy mnie, pierwsi do mnie przystępują i zapraszają na poczęstunek; na ten raz nikt z nich pół słówka nie zagadał, z czego wnosić wypada, że mnie nie widzieli. Przybyłem wreszcie do domu. Na progu zaszła mi drogę ta szatańska białogłowa i zobaczyła mnie. Wiecie przecie sami, że na co baba spojrzy, to zaraz moc przyrodzoną strada<sup>37</sup>. Stąd też poszło, że najszcześliwszy człek we Florencji na najnędniejszego się zmienił. Cóż dziwnego zatem, że ją łupił, dopóki mi sił starczyło. Teraz nawet czuję, iż zbyt się hamowałem i że powinienem jej wszystkie gnaty poprzetrzącać. O, przekłeta niechaj będzie ta godzina, w której ją pierwszy raz ujrzałem i do mego domu wwiódłem!

Rzekłszy te słowa, nowym zapalony gniewem, powstał i chciał skoczyć znowu ku Tessie, aliści<sup>38</sup> Buffalmacco i Bruno, którzy przez cały czas jego mowy najwyższe zadziwienie udawali i potakiwali mu, widząc teraz, że się na nową bójkę zanosi, zastąpili mu drogę i wstrzymali go, po czym jęli go zapewniać, iż w tej sprawie nie żona, ale on sam najwięcej jest winien, wiedząc bowiem, że od kobiecego spojrzenia czarodziejska siła ginie, powinien był ostrzec żonę zawczasu, aby mu się w tym dniu na oczy nie pokazywała. Ponieważ uczynić tego zaniedbał, niechaj sam sobie winę przypisze, a raczej woli boskiej, która albo mu tego szczęścia nie przeznaczyła, albo też w ten sposób ukarać go chciała za to, że pragnął oszukać towarzyszy. Znalazłszy kamień cudowny nie zawiadomił ich przecież o tym.

Po długich staraniach i trudach udało im się wreszcie pogodzić Calandrina z nieszczęśliwą jego żoną; po czym odeszli, ostawiając go wpatrującego się z wielką melankolią w stos przyniesionych kamieni”.

## OPOWIEŚĆ CZWARTA. NA GORĄCYM UCZYNKU

*Proboszcz z Fiesole miłuje pewną wdowę, która go wzajemnością swą nie darzy. Mniemając, że jest z nią spółem, cieszy się wdziękami szpetnej służki. Bracia damy sprowadzają biskupa, który proboszcza na gorącym uczynku chwytą.*

Eliza skończyła wreszcie opowieść swoją, wielce nią całe towarzystwo rozweseliwszy. Po czym królowa zwróciła się do Emilii i dała jej znak, że na nią kolej przypada. Emilia, nie namyślając się, w te słowa zaczęła:

— Miłe towarzyszki moje! O ile sobie przypominam, niejedyn już tutaj przytoczono przykład, z którego przekonać się było można, jak mnichy i księża wszelkiego rodzaju o zbawienie dusz naszych się troszczą. Ponieważ jednak, jak mi się zdaje, dotąd tej materii do cna nie wyczerpano, pozwolę sobie tedy<sup>39</sup> opowiedzieć wam jeszcze jedną historię o proboszczu z Fiesole, który na przekór całemu światu chciał doprowadzić do tego, aby pewna szlachetna dama, nawet wbrew swej woli, doń należała. Dama ta, pełna roztropności, obeszła się z nim tak, jak na to zasłużył.

„Jak każdej z was wiadomo, Fiesole, którego wyżyny stąd nawet gołym okiem obaczyć można, jest starym i ongiś znanym miastem. Miasto to, chylące się dzisiaj do upadku, posiadało swoje biskupstwo. Otóż w grodzie tym mieszkała niegdyś w pobliżu katedry

<sup>36</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>stradać — tracić. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

pewna wdowa, białogłowa ze znacznego rodu idąca, imieniem pani Piccarda. Nie będąc bogatą, przepędzała większą część roku w skromnym swoim domku pospołu z dwoma braćmi, szlachetnymi i obyczajnymi młodzieńcami. Wdowa często w kościele bywała. Proboszcz, spostrzegłszy, że jest młoda i urodziwa, zakochał się w niej na zabój. Po pewnym czasie odważył się wyznać jej swoje afekty, błagając ją, aby je podzielić chciała. Był to człek w podeszłych latach, aliści nader młodzieńczego usposobienia, zuchwały i wyniosły wielce, a przy tym tak mocno w sobie rozmiłowany, tak przykry i nieprzyjemny w obejściu, że nie było w całym mieście nikogo, kto by go przychylnością swą darzył. Ze wszystkich najmocniej nie cierpiała go dama nasza, nienawidząc go bardziej niżli ból głowy. Toteż wysłuchawszy jego miłosnych oświadczeń, jako roztropna białogłowa, w te słowa mu odparła:

— Miłość wasza, która jest dla mnie prawdziwym zaszczytem, zobowiązuje mnie do przychylności. W afekty jednak nasze żadna rzecz nieobyczajna mieszać się nie powinna. Jesteście moim ojcem duchownym, księdzem, a przy tym człekiem w statecznym już wieku. Ze względu na to, powinniście obyczajnie postępować. Z drugiej strony ja także już nie jestem młodą panienką, której miłości by przystawały. We wdowieńskim stanie żyję, a wiecie sami, jakiej surowości obyczajów świat od wdowy wymaga. Wybaczcie mi tedy, że ani ja was w ten sposób, jak pragniecie, miłowała nie będę, ani chcę, abyście w mnie tak kochali.

Proboszcz, mimo że innej odpowiedzi wydobyć już z ust damy nie zdołał, nie zniechęcił się jednak ani za zwyciężonego we wstępnym boju nie uznał; przeciwnie, wielce natrętnie dręczył ją począł listami i poselstwami swymi: ilekroć zasię<sup>40</sup> ujrzał ją w kościele, prośbami ją atakował. To uporczywe nagabywanie rozdrażniło tak w końcu naszą damę, że myśleć poczęła nad środkiem pozbycia się prześladowcy, i to w sposób, na jaki zasługiwał. Przede wszystkim jednak postanowiła naradzić się z braćmi. Wezwała ich do siebie, opowiedziała całą historię z proboszczem, przedstawiła plan, który jej do głowy przyszedł, i spytała, zali<sup>41</sup> nań się godzą? Bracia zgodzili się chętnie.

W kilka dni potem dama, obyczajem swoim, udała się do kościoła. Proboszcz ujrawszy ją wyszedł na jej spotkanie i jak zwykle, w poufałą z nią wstąpił rozmowę. Dama, uprzejmie nań spojrzawszy, w trakcie rozmowy wielką przychylnością mu okazała. Wysłuchawszy na uboczu wielu słodkich słówek, rzekła z głębokim westchnieniem:

— Słyszałam nieraz, że nie masz tak silnej twierdzy, która by, co dzień szturmowana, nie poddała się wreszcie. Dzisiaj widzę, że zdanie to sprawdza się na mnie samej. Takeście mnie usidlili cukrowanymi słowy, uprzejmościami i ciągłym staraniem się o moje względy, że chcę złamać słowo, które sobie dałam, i należeć do was w nagrodę za tak wytrwałą miłość.

Proboszcz na te słowa w najwyższym uniesieniu zawołał:

— O pani, jakież dank<sup>42</sup> mam ci złożyć? Jeśli mam prawdę powiedzieć, dziwiło mnie to niepomału<sup>43</sup>, żeś się tak długo opierała, nigdy mi się to bowiem w stosunku do innych białogłów nie zdarzyło. Dotychczas twierdziłem zawsze, że gdyby kobiety ze srebra były, nie zdałyby się na monetę, bowiem żadna z nich młota by nie wytrzymała. Aliści dajmy temu pokój; a natomiast zechciej mi powiedzieć, kiedy, gdzie i jak zejść byśmy się z sobą mogli?

— Mój miły ojczy — odrzekła na to dama — mogę wam odpowiedzieć, że wtedy, gdy się wam to podobać będzie, nie mam bowiem męża, któremu bym z nocy moich rachunek zdawać musiała. Ale gdzie, tego wymyślić nie potrafię.

— Jak to? — zawołał proboszcz — a w twoim domu?

— Wiecie wszak, ojczy — odparła dama — że mam dwóch młodych braci, którzy często w dzień i w nocy z towarzyszami swymi w domu moim przesiadują. Ponieważ miejsca w nim niewiele, łatwo by więc nas przydybać mogli, chyba żebyśmy się jak niemi bezgłośnie zachowywali i zgodzili się przez cały czas w ciemnościach, niczym ślepcy, pozostawać. W tym tylko razie komnata moja mogłaby istotnie za schron nam posłużyć;

<sup>40</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>dank (daw., z niem.) — podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>niepomału (daw.) — niemało. [przypis edytorski]



bracia moi nigdy do niej nie zachodzą; jednakże ich komnata jest tak blisko mojej, że najcichszy szept słycać by u nich było.

— Ha! — odrzekł proboszcz — nie chcę chwili mego szczęścia odkładać, zachowamy się tedy, jak potrzeba, i zejdziemy się tymczasem u was. W przyszłości pomyślę o wynalezieniu stosowniejszego miejsca.

— Zgoda — rzekła dama — ale jeszcze jedno słówko. Błagam was, aby to wszystko w najgłębszej tajności pozostało.

— Nie obawiajcie się niczego, pani — odparł proboszcz. — Postarajcie się tylko, abyśmy już dziś wieczór spotkać się mogli.

— Chętnie — rzekła dama, po czym wskazała mu, jak ma się do jej komnaty przedostać, i pożegnawszy go do domu powróciła.

Wdowa trzymała u siebie służkę, dziewczynę, nie tylko już leciwą, ale i najszeptniejszą pod słońcem. Twarz jej, wierę<sup>44</sup>, wielce szpetna była, nos szeroko rozplaszczony, gęba krzywa, wargi grube, zęby wielkie i nierówne. Oczy miała zawsze kaprawe, a cerę tak zieloną i żółtą, jak gdyby lato nie w Fiesole, ale w Sinigalii spędziła. Krom<sup>45</sup> tego dziewczeczka ta chromała<sup>46</sup> i prawą nogę miała krótszą od lewej. Na imię jej było Ciuta, aliści dla jej szpetności nazywano ją grubo Ciutazza. Przy całej brzydocie na sprycie jej jednak nie zbywało.

Dama nasza przywołała służkę i tak rzekła do niej:

— Jeśli mi uczynisz, Ciutazzo, tej nocy pewną przysługę, podaruję ci za to nową, piękną koszulę.

Na wzmiankę o koszuli Ciutazza zawołała:

— Pani, dla koszuli rzucić się za ciebie w ogień jestem gotowa, nie mówiąc już o mniejszej rzeczy.

— Dobrze tedy<sup>47</sup> — odparła dama. — Otóż chcę, abyś tej nocy położyła się do mego łóża z pewnym mężem i abyś pieśczoły jego odwzajemniała. Strzeż się jednak choćby słówko szepnąć do niego, bowiem bracia moi, śpiący opodal, mogliby cię posłyszeć. Jeśli prośbę moją spełnisz, koszula do ciebie należeć będzie.

— Co? — zawołała Ciutazza — z sześciu położę się spać, nie tylko z jednym, jeśli o to chodzi!

Tymczasem wieczór zapadł; o zmroku pojawił się przed domem ksiądz proboszcz. Dwaj młodzieńcy, zgodnie z udzieloną im wskazówką damy, znajdowali się w pokoju swoim i głośno rozmawiali. Nasz miłośnik ostrożnie, wstrzymując oddech, udał się wskazaną mu drogą do sypialni damy i po ciemku, na palcach zbliżył się do łóża. Wówczas Ciutazza, dobrze roli swojej wyuczona, przystąpiła ku niemu. Proboszcz, przekonany, że znajduje się obok ukochanej, nie mówiąc ni słowa całować ją począł. Ciutazza hojnie się odwzajemniała. Za chwilę spoczywali już jedno w objęciach drugiego. Proboszcz mógł się wreszcie cieszyć do woli rozkoszą, na którą tak długo czekać musiał.

Tymczasem dama, widząc księdza wkraczającego do swej sypialnej komnaty, dała znak braciom, aby wiedzieli, że ich rola teraz się zaczyna. Bracia wyszli po cichu z zamiarem udania się na plac katedralny, ale szczęście sprzyjało im nadszpedziewanie, biskup bowiem z powodu wielkiego skwaru wybrał się na przechadzkę i do nich chciał się kierować, by wytchnąć nieco i orzeźwić się napojem. Spotkawszy ich w drodze, wyjawiał im swój zamiar. Ruszyli razem. Przybywszy do swego domu, bracia wprowadzili biskupa do rzęsiście oświetlonej altany i poczęstowali wyborynym winem.

Po czym, upatrzywszy stosowną chwilę, jeden z nich rzekł w te słowa:

— Panie, ponieważ byłeś tak dobry i zaszczyciłeś nasz skromny domek swoimi odwiedzinami, uprzedzając zaproszenie nasze, to mamy nadzieję, że zechcesz teraz spojrzeć na pewne widowisko, które ci pokazać pragniemy.

Biskup przystał na to z chęcią. Wówczas jeden z młodzieńców, wzięwszy w rękę płonącą pochodnię, poszedł przodem, brat jego zasię<sup>48</sup> z innymi w ślad za nim biskupa poprowadził. Po chwili weszli do pokoju, w którym proboszcz z Ciutazza się znajdował.

<sup>44</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>chromać — kuleć. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

Ponieważ zacny ten mąż, jako dzielny jeździec, ostróg koniowi swemu nie żałował i przebył już dotychczas więcej niż trzy mile, zmęczony się tedy nieco i w tej chwili odpoczywał, mimo skwaru trzymając Ciutazzę w objęciach.

Przy świetle pochodni biskup i wszyscy przytomni<sup>49</sup> ujrzeli to piękne widowisko. Proboszcz, olśniony światłem i strwożony głosami ludzkimi, ocknął się i widząc, co się dzieje, zawstydzony i drżący, schował głowę pod kołdrę. Na nic mu się to jednak nie zdało. Biskup bowiem poznał go, przemówił doń srogimi słowy, kazał mu wyjąć głowę spod kołdry i zobaczyć, z kim łoże dzieli. Wówczas proboszcz pojawiwszy jadowitość figla damy i wystawiwszy sobie, jaki mu z tego wstyd urósł musi, stracił całkiem głowę. Z rozpaczliwego położenia wywiódł go dopiero biskup rozkazując mu ubrać się. Gdy to uczynił, odesłano go pod strażą do domu, gdzie w zamknięciu nałożoną nań ciężką pokutę odbywać musiał.

Biskup zapragnął dowiedzieć się, jakim sposobem do tak zażyłych stosunków między proboszczem a Ciutazzą przyszło. Dwaj młodzieńcy uczynili zadość temu życzeniu i opowiedzieli mu szczegółowie<sup>50</sup> rzecz całą. Biskup pochwalił gorąco damę i jej braci za to, że wybrali jeno<sup>51</sup> taki środek ukarania proboszcza i że nie splamili rąk krwią niegodziwego człeka, który jednak sukienkę duchowną nosi.

Przez czterdzieści dni z rozkazu biskupa proboszcz nasz grzech swój oplakiwał, aliści boleść, której doznał z powodu zawodu i urażonej miłości własnej, daleko dłużej lży mu z oczu wyciskała. W ciągu kilku miesięcy nigdzie pokazać się nie mógł, bowiem zaraz obstępowali go chłopcy, i pokazując go palcami, wołali:

— Patrzcie no, patrzcie, to ten, co z Ciutazzą spał!

Proboszcza tak to drażniło, że o mało rozumu z tej przyczyny nie postradał.

Takim to sposobem pozbyła się roztropna dama natrętnego miłośnika, Ciutazza zaś pozyskała nową koszulę”.

## OPOWIEŚĆ PIĄTA. SĘDZIA BEZ SPODNI

*Trzech florenckich figlarzy ściągają spodnie z sędziego, w czasie gdy ów w trybunale różne sprawy rozważa.*

Gdy Emilia opowieść swoją skończyła, wszyscy należne pochwały wdowie oddali. Po czym królowa, spojrzawszy na Filostrata, wezwała go do opowiadania z kolei. Filostrato bez zwłoki zaczął w te słowa:

— Miłe damy! Imię młodzieńca, Maso del Saggio, o którym niedawno Eliza wspomniła, skłoniło mnie k’temu<sup>52</sup>, abym opowieść, jaką poprzednio miałem zamiar wam przytoczyć, inną nowelą zastąpił. Tenże Maso, wraz z kilku jego towarzyszami, gra w niej niepoślednią rolę. Powieść ta jest obyczajną, chociaż zawierają się w niej słowa, do używania których nie przywykłyście. Opowiem wam ją jednak ze względu na to, że jest wielce krotochwilną<sup>53</sup>.

„Jak wam zapewne wiadomo, do naszego grodu przybywają często podestowie<sup>54</sup> z okolic Ankony. Są to przeważnie ludzie ubodzy duchem, nędzarze i brudni chciwcy. Przywodzą oni z sobą podobnych do siebie pomocników, sędziów i jurystów<sup>55</sup>, wyglądających raczej na takich, którzy ze stajni lub szewskiego kramiku wyszli, niżli na wychowañców szkoły prawa. Otóż jeden z takich podestów, przybywszy do naszego miasta, przywiódł z sobą między wielu innymi prawnika, który kazał się nazywać panem Nicola da San Lepidio, mimo że wyglądał raczej na ślusarza niżli na sędziego. Powierzono mu, na równi z innymi sędziami, różne sprawy kryminalne do rozpatrzenia. Pewnego poranku Maso del Saggio, obyczajem wielu mieszczan, którzy często do sali sądowej zachodzą, chociaż

<sup>49</sup>przytomni (daw.) — obecni, zebrani. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>k’temu (daw.) — do tego. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>krotochwilny (daw.) — żartobliwy. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>podesta — w średniowiecznych włoskich miastach najwyższy urzędnik o uprawnieniach sądowniczych i wojskowych. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>jurysta (daw., z łac.) — prawnik. [przypis edytorski]

sprawy żadnej nie mają, przybył tam w poszukiwaniu jednego z przyjaciół i ujrzał pana Nicola. Wygląd sędziego wydał mu się tak dziwny, że jał<sup>56</sup> się mu przyglądać niby jakimś pokracznemu ptakowi. Było istotnie patrzeć na co! Nasz sędzia miał brudną, okropną myckę na głowie, kałamarz i pióro za pasem, kamizelkę dłuższą od surduta, jednym słowem, wyglądał tak, jak rzadko który stateczny człek na świecie wyglądać może. Szczególną uwagę Masa zwróciły spodnie sędziego. Dzięki odchylonym połom ciasnego kaftana widać było, gdy siedział, że górna część tych spodni prawie do połowy nóg opada. Na ten widok krotochwilna<sup>57</sup> myśl strzeliła do głowy Masa, przerwał tedy<sup>58</sup> swe poszukiwania, a pośpieszył co prędzej do dwóch przyjaciół swoich, imieniem Ribi i Matteuzzo. Byli oni podobnymi figlarzami co i sam Maso. Spotkawszy ich, Maso rzekł:

— Chodźcie ze mną do sali sądowej, a pokażę wam najucieszniejszą małą, jaką tylko na świecie obaczyć można.

Po czym, wzięwszy ich z sobą, pokazał im sędziego i jego spodnie. Dwaj młodzieńcy na ten widok poczęli się śmiać jak szaleni. Przystąpiwszy bliżej do podniesienia, na którym pan sędzia królował, spostrzegli, że łatwo się pod nie dostać można i że w deskach, na których pan Nicola nogi opiera, znajduje się dziura tak wielka, że nietrudno będzie przez nią rękę i ramię przesunąć. Wówczas Maso rzekł do swych towarzyszy.

— Należy ściągnąć mu te portki, choćby to nas nie wiem co kosztować miało.

W jednym okamgnieniu porozumieli się z sobą i umówiwszy się odłożyli sprawę do następnego dnia. Nazajutrz zjawili się znów w sali sądowej, która tym razem była pełna ludzi. Matteuzzo, przez nikogo nie spostrzeżony, wśliznął się pod tron sędziego i usadowił się blisko nóg ofiary. Wówczas Ribi i Maso przystąpili do sędziego z dwóch stron. Pierwszy schwycił go za lewą połą od kaftana, drugi za prawą, po czym razem wrzeszczeć poczęli.

— Panie sędzio, o panie łaskawy — krzyczał Maso — zaklinam was na Boga, wysłuchajcie mnie i każcie przytrzymać tego łotra, który się was z przeciwnej strony czepia! Niechaj odda buty, które mi zwędził. Nie wierzcie mu, panie sędzio, choćby i zaprzeczał. Sam widziałem, jak przed miesiącem niósł je do szewca do naprawy.

— Panie — wrzeszczał tymczasem Ribi — nie wierzcie mu ani słowa, bowiem jest łgarzem wierutnym! Wie, że przybyłem tutaj, aby upomnieć się o tłumoczek, który ukradł. Dlatego też kłamie teraz o butach, które miałem w domu od niepamiętnych czasów.

— Jeśli mi, panie, nie wierzycie, świadków wam przedstawię. Niechaj zaświadczy sąsiadka moja, jarzyniarka, a także ta gruba, co handluje flakami, i śmieciarz, który odpadki w Santa Maria a Verzaia zbiera. Widział je, gdy wracał do miasta.

Z kolei zabrał głos Maso i nie dając dokończyć Ribiemu, jał<sup>59</sup> wrzeszczeć z całego gardła. Ribi nie dał się zwyciężyć. Obaj taki hałas piekielny czynili, że pojąć nie można było, o co im właściwie chodzi. Sędzia chcąc ich zrozumieć, wstał i nieco ku nim się pochylił. Wówczas Matteuzzo wysunął rękę przez otwór między deskami, schwycił za dół obszernych portek sędziego i silnie je ku sobie pociągnął. W tym mgnieniu oka spodnie opadły obnażając chude i kościste ciało sędziego. Sędzia, spostrzegłszy, co mu się stało, i nie wiedząc, jak to tłumaczyć, chciał się zasłonić połami kaftana i usiąść na krześle, aliści Maso, trzymając go za jedną połą, a Ribi za drugą, krzyczeli jeden przez drugiego:

— Tak się nie godzi, panie sędzio! Widać wysłuchać mnie nie chcecie! Wszak o tak błahą rzecz nie będę skargi na piśmie podawał. Podobnego zwyczaju u nas nie ma.

Wśród takich i tym podobnych wrzasków trzymali tak długo sędziego za poły, aż wydali go na pocieszne widowisko zgromadzonemu ludowi. Wreszcie Matteuzzo porzucił spodnie i wyszedł spod katedry sędziowskiej niezauważony przez nikogo. Wówczas Ribi zawołał:

— Ha, skoro tak, to pójdę na skargę do syndyka!

Rzekłszy te słowa, puścił połą kaftana sędziego. Maso zasię<sup>60</sup> krzyknął z udanym gniewem:

<sup>56</sup>jał (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>krotochwilny (daw.) — zartobliwy, wesoły, zabawny. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>jał (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

— Co się mnie tyczy, to będę tu tak długo przychodził, aż wreszcie posłuch znajdę, gdy nie będziecie tak zamroczeni jak dziś.

Po czym obydwaj skoczyli żwawo w tłum, każdy w inną stronę, i znikli.

Czcigodny sędzia, pieniąc się ze złości, wciągał na oczach wszystkich przytomnych<sup>61</sup> swe spodnie, tak jakby dopiero przed chwilą z łoża wyszedł. Teraz dopiero połapawszy się w rzeczy, pytał dokoła, gdzie się podzieli ci dwaj ludzie, co wszczęli spór o buty i tłumoczek, aliści gdy za odpowiedź tylko gromki śmiech usłyszał, zaklął się na jelita Chrystusa, że się dowie, czy we Florencji leży to w obyczaju, aby sędziom spodnie ściągać, gdy zasiadają w trybunale. Po pewnym czasie w samej rzeczy do podesty się udał. Podesta na wieść o tym uniósł się wielce, gdy mu jednak przyjaciele wytłumaczyli, że figiel ten wypłatany został w tym celu, aby pojął, że do Florencji winien sędziów, a nie baranie głowy sprowadzać, zamilkł i uznał za lepsze sprawie tej rozgłosu nie nadawać<sup>62</sup>.

## OPOWIEŚĆ SZÓSTA. UKRADZONA ŚWINIA

*Bruno i Buffalmacco, ukradłszy Calandrinowi świnie, uczą go, w jaki sposób przy pomocy galek imbirowych i wina odnaleźć ją może. Wkładają mu w usta dwie psie pigułki, przyprawione aloesem. Wówczas okazuje się, że Calandrino sam sobie świnie ukradł. Za czym wymuszają na nim okup, jeśli nie chce, by wszystko żonie powiedzieli.*

Ledwo opowieść Filostrata, która huczny śmiech wywołała, do kresu dowiedziona została, zabrała z kolei głos Filomena i na rozkaz królowej w te słowa zaczęła:

— Miłe przyjaciółki! Imię Masa przywiodło Filostratowi na pamięć historię, którąście dopiero co słyssały, mnie zaśię nazwisko Calandrino i jego towarzyszy przypomina zdarzenie, również z nimi związane, które jak mniemam, zabawić was powinno.

Jakiej natury to ludzie byli, ów Calandrino, Bruno i Buffalmacco, nie potrzebuję wam tutaj określać, bowiem już o nich dość słysszeliście. Dlatego też zacznę wprost od uświadomienia was, że nasz Calandrino posiadał niedaleko Florencji małą majątność, którą w wianie za żoną otrzymał. Między innym bydłem zwykł był na wsi także co roku jedną świnie chować. Około Bożego Narodzenia przybywał do swej majątności wraz z żoną, zarzynał świnie i soleniem jej się zajmował.

„Otóż pewnego razu zdarzyło się, że żona, niedomagając nieco na zdrowiu, pozostała w domu, Calandrino zaśię sam na wieś się wybrał, by zarznąć wieprza. Bruno i Buffalmacco, dowiedziawszy się o nieobecności żony Calandrino, przybyli do pewnego księdza, zaprzyjaźnionego z nimi, a sąsiada Calandrino, i zaprosili się do niego na kilka dni w gościnę. Rankiem w dniu ich przybycia Calandrino zarznął właśnie swoją świnie. Spozstrzegłszy przyjaciół w towarzystwie sąsiada-księdza, zawołał wesoło:

— Jak się macie! Chodźcie obaczyć, jaki to gospodarz ze mnie!

I wprowadziwszy ich do swego domu zarzniętą świnie im pokazał.

Bruno i Buffalmacco za jednym rzutem oka ocenili okazałe rozmiary zwierzęcia, toteż gdy Calandrino oświadczył im, że zamysła teraz nasolić mięso na użytek rodziny, Bruno odezwał się doń:

— Nie bądź głupcem! Sprzedaj wieprza, tak abyśmy pieniądze przehulać mogli! Żonie powiesz, że cię okradziono!

— O, co to, to nie! — odparł Calandrino. — Nie uwierzyłaby mi i z domu by mnie wygnała. Nie, nie, dajcie mi pokój, tego nigdy nie uczynię!

Długo jeszcze go namawiali, aliści<sup>62</sup> wszystko na niczym spelzło. Odeszli więc wreszcie, nie chcąc pozostać u niego na wieczerzy, na którą ich półgębkiem zapraszał. Gdy za drzwiami się znaleźli, Bruno rzekł do Buffalmacca:

— Może byśmy mu tę świnie dziś w nocy zwędzili?

— Zgadzam się — odrzekł Buffalmacco — ale nie wiem, jak by to zrobić?

— W tym już moja głowa — odrzekł Bruno. — Mam pewny sposób, obawiam się jeno<sup>63</sup>, aby świni w inne miejsce nie przeniósł.

<sup>61</sup>przytomni (daw.) — obecni, zebrani. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]



— Dobrze zatem — odparł Buffalmacco — ściągniemy mu ją, a pieniądze przehelamy później razem z ojcem wielbnyim.

Ksiądz przystał na to chętnie.

— Trzeba wielce chytrze sobie poczynić — ciągnął dalej Bruno. — Znasz przecie, Buffalmacco, skąpstwo Calandrino i wiesz, z jakim ukontentowaniem on pije, gdy ktoś inny płaci. Zaprośmy go tedy<sup>64</sup> do gospody i niechaj ksiądz powie, że nas wszystkich za swoje pieniądze ugaszca. Pewien jestem, że Calandrino, byle nic nie płacił, na cudzy koszt niezgorzej się upije. Wówczas nie będziemy już mieli żadnej trudności, jak wiesz bowiem, Calandrino jest sam jeden w całym domu.

Jak Bruno poradził, tak też uczynili. Calandrino widząc, że ksiądz nikomu płacić nie pozwala, począł pić bez odetchnienia i wreszcie tak się uraczył, że ledwie stał na nogach. Noc już była, gdy się rozeszli. Nasz Calandrino, nie myśląc już o wieczerzy, do domu powrócił i nie zważywszy, że drzwi otworem zostawia, padł na łóżko i wnet zasnął. Tymczasem Bruno i Buffalmacco zjedli wraz z księdzem wieczerzę, otrzeźwieli całkiem, po czym opatrzeni w różne narzędzia do otwierania drzwi służące, udali się po cichu do domu Calandrino. Zastawszy drzwi otwarte, bez trudu weszli do wnętrza, zabrali świnie, zanieśli ją do domu księdza, schowali w bezpieczne miejsce, po czym spać się położyli.

Z rana Calandrino, wytrzeźwiony zupełnie, zbudził się ze snu i zszedłszy na dół, od razu spostrzegł, że drzwi stoją otwarte na ścieżaj<sup>65</sup> i że świni nie ma. Jak odurzony począł tu i tam biegać, pytając każdego, czy nie widział jego świni, gdy zaś to wszystko na nic się nie przydało, wielki gwałt podniósł, żaląc się, że wieprza mu ukradziono.

Bruno i Buffalmacco, wstawszy z łóża, wyszli przed próg domu, aby usłyszeć, co Calandrino o świni mówi. Calandrino przywołał ich z łzami w oczach i rzekł do nich:

— Biada mi, towarzysze, ukradziono mi świnie!

— Widzę, żeś przyszedł wreszcie do rozumu i posłuchał mojej rady — szepnął Bruno, podszedłszy do niego.

— Jakiej rady? — jęknął Calandrino. — Mówię prawdę!

— Tak, tak, wybornie — ciągnął dalej Bruno. — Krzycz głośno, jak możesz najgłośniejszej, aby się wszystkim zdawało, że to istotna prawda.

— Na ciało Chrystusowe klnę się, że w samej rzeczy mi ją skradziono! — zawołał jeszcze głośniejszym głosem Calandrino.

— Nie ustawaj ani na chwilę — rzekł Bruno. — Zaklinaj się, przysięgaj, wrzeszcz co sił... a wszyscy ci uwierzą.

— Pęknię chyba ze złości! — krzyknął Calandrino. — Nie chcesz mi uwierzyć! Bodaj mnie powieszono, jeśli kłamię, bodaj mnie piorun zabił...

— He! — rzekł miarkując się Bruno — byłoby to prawdą w samej rzeczy? Przecież wczoraj jeszcze tutaj świnie widziałem. Zali<sup>66</sup> chcesz we mnie wmówić, figlarzu, że na skrzydłach stąd uciekła?

— Ależ jest, jak powiadam! — wrzasnął Calandrino.

— Jesteż to możliwe? — rzekł Bruno. — Byłaby to prawdziwa bieda!

— I jaka jeszcze! — jęknął rozpaczliwie Calandrino. — O ja nieszczęśliwy, jakże do domu powrócę! Moja żona mi nie uwierzy, a choćby i uwierzyła, gorzkie za to będę miał życie przez rok cały!

— Ha!... — odezwał się poważnym głosem Bruno. — Pojmuję, że ci przykro być musi, jeśli w istocie tak się stało. Jednakże trudno mi w to uwierzyć, bo wszak sam dawałem ci wczoraj radę, abys odegrał taką rolę, jaką właśnie grasz dzisiaj. Zdaje mi się tedy, że chciałbyś teraz żonę swoją i nas zarazem w pole wywieść.

Calandrino, do ostateczności przywiedziony, zawołał:

— Zali chcesz, abym z rozpaczy Bogu i świętym Pańskim bluźnił? Mówię ci, czleku, najświętszą prawdę, że mi świnie w nocy ukradziono.

— Kiedy tak — rzekł Buffalmacco — to nie ma co rąk zakładać, trzeba jeno<sup>67</sup> poszukać sposobu na odzyskanie twojej straty.

— Otóż to właśnie! — zawołał Calandrino. — Aliści nie widzę żadnego sposobu.

<sup>64</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>na ścieżaj — dziś: na oścież. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

— Powoli, powoli — rzekł Buffalmacco. — Przecież nikt z Indyj po twoją świnie nie przyszedł. Musiał ją ściągnąć któryś z naszych sąsiadów. Dalibóg, gdybyś tylko ich zebrać potrafił, to przy pomocy zaczarowanego chleba i sera zaraz dowiedzielibyśmy się, kto cię obrabował.

— Zali mniemasz — przerwał Bruno — że ty tylko jeden wiesz o tym sposobie? Znany on jest niewątpliwie niejednemu z sąsiadów, tak iż nikt już nań się złapać nie da... Możemy natomiast inną próbę uczynić.

— Jaką? — spytał Buffalmacco.

— Postarajmy się o gałki imbirowe i o dobre wino Vernaccia — rzekł Bruno. — Można te rzeczy równie dobrze zaczarować jak chleb i ser. Potem zaprosimy wszystkich sąsiadów na poczęstunek. Wszyscy się zejdą, nikt bowiem nie będzie podejrzewał, o co nam chodzi.

— Masz słuszność — zawołał Buffalmacco. — A ty, Calandrino, co myślisz o tym? Chcesz, abyśmy tego sposobu spróbowali?

— Pragnę tego najgoręcej — odrzekł Calandrino — zaklinam was nawet na ciało Chrystusowe, abyście to uczynili. Gdy będę wiedział, kto mnie okradł, ulgę poczuje, choćbym własności mojej odebrać nawet nie miał.

— Dobrze tedy<sup>68</sup> — odrzekł Bruno. — Dla miłości, jaką dla ciebie żywię, gotów jestem sam wybrać się do Florencji po potrzebne przedmioty. Musisz mi jeno dać pieniądze na zakupy.

Calandrino miał około czterdziestu soldów przy sobie. Oddał je z chęcią Brunowi, który niezwłocznie udał się do Florencji, zaszedł do znajomego aptekarza, kupił funt wybornych gałek imbirowych, przy czym też kazał dwie psie pigułki przyrządzić i nadziać je świeżym aloesem; następnie wszystkie jednako cukrową powłoką obciągnięte zostały. Aby jednak się nie pomylić, naznaczył Bruno owe dwie odmienne pigułki w ten sposób, iż w każdej chwili z łatwością od innych mógł je odróżnić. Wreszcie kupił butelkę dobrego wina Vernaccia i tak opatrzony, powrócił na wieś. Spotkawszy Calandrino rzekł do niego:

— Staraj się jutro zaprosić na poczęstunek tych wszystkich, co do których choćby najmniejsze podejrzenie żywisz. Mniemam, że ci się to uda, bowiem jutro dzień świąteczny przypada, nikt się więc od przyjścia nie będzie wymawiał. Co do mnie, zajmę się tej nocy wraz z Buffalmacciem zaczarowaniem pigulek, a jutro przyniosę je do ciebie i sam rozdzielię je między zgromadzonych. Będę przy tym czynił i mówił, co potrzeba.

Calandrino uczynił, co mu polecono. Nazajutrz zebrało się liczne towarzystwo, złożone z młodych Florentczyków, bawiących w okolicy, a także z miejscowych rolników. Gdy się już wszyscy pod jesionem przy kościele zgromadzili, pojawił się Bruno i Buffalmacco z pudłem pełnym pigulek i butlą wina. Przytomni otoczyli ich kołem; wówczas Bruno rzekł w te słowa:

— Muszę wam z góry oznajmić przyczynę, dla której was tu zaprosiliśmy, abyście, w razie gdy was jaka niemiła rzecz spotka, do mnie urazy nie żywili. Wiedźcie tedy, że przytomnemu<sup>69</sup> tutaj Calandrino zginęła wczoraj w nocy piękna świnia. Dotychczas nie mogłem odkryć, kto mu ją ukradł. Ponieważ jednak sprawcą kradzieży nie może być ktoś inny, tylko jeden z nas, jego sąsiadów, przeto sprosił tu dzisiaj wszystkich, aby winowajcę odnaleźć. Calandrino chce wpaść na trop złodzieja przy pomocy wina i tych pigulek, które mają tę osobliwą cnotę, iż winowajca, wzięwszy jedną z nich w usta, przełknąć jej nie może, ale zmuszony jest wypluć ją, tak gorzka mu się wyda. Zanim jednak przystąpimy do rzeczy, mniemam, że lepiej by było, aby sprawca nie czekając, aż w przytomności tak wielu osób sromem<sup>70</sup> okryty zostanie, sam do winy księdzu się przyznał. A wtedy ja poniecham tej próby.

Wszyscy na te słowa oświadczyli, że poddadzą się chętnie próbie. Na to oświadczenie Bruno rzędem wszystkich uszykował, Calandrino w środku postawił i jał<sup>71</sup> od brzegu zacząwszy, pigułki rozdzielać. Stanąwszy przed Calandrinem wręczył mu pigułkę aloesem nadzianą. Calandrino wpakował ją chciwie do ust i żuć począł, gdy jednak do aloesu

<sup>68</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>przytomny (daw.) — tu: obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

<sup>70</sup>srom (daw.) — wstyd, hańba. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>jał (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

się dobrał, uczuł gorycz tak niezmierną, że rad nierad wypluć pigułkę musiał. Wszyscy spoglądali na siebie, czekając, kto swoją pigułkę wypluje. I jeszcze Bruno wszystkich nie obdzielił, niczego po sobie domyślić się nie dając, gdy posłyszał za sobą głosy:

— Hola, Calandrino! Cóż to ma znaczyć?!

Wówczas Bruno z najniewinniejszą miną obrócił się żywo i spostrzegłszy, co się z Calandrinem dzieje, zawołał:

— Może Calandrino tylko przypadkiem splunął? Spróbujmy raz jeszcze! Masz drugą pigułkę, Calandrino!

I biorąc drugą, włożył mu ją do ust; po czym oddalił się pospiesznie, aby pozostałych obdzielić.

Tymczasem Calandrino rozgryzł przekłętą galkę. Jeśli poprzednia gorzką mu się wydała, to ta stokroć gorszą jeszcze. Ponieważ jednak bał się ją wypluć, trzymał ją przez długi czas w ustach. Od goryczy lzy mu z oczu płynąć poczęły wielkie jak orzeszki. Aliści natura tego gwałtu dłużej ścierpieć nie mogła. Otworzył usta i wypluł obrzydliwą pigułkę.

Na ten widok towarzystwo całe wraz z Brunem i Buffalmacciem, rozdzielającymi właśnie wino, krzyknęło, że ani chybi, Calandrino sam sobie świnie ukradł. Ze wszech stron posypały się na niego łajania i obelgi. Wreszcie rozeszli się wszyscy krom<sup>72</sup> Bruna i Buffalmacca. Wówczas Buffalmarco zbliżył się do Calandrino i rzekł:

— Byłem aż nadto pewny, że ukrywając czy sprzedawszy tę świnie, chciałeś w nas wmówić, iż ci ją ukradzono, tylko dlatego, aby nie postawić nam nic za pieniądze, które dostałeś za nią.

Calandrino, mając jeszcze usta pełne aloesowej goryczy, zaczął przysięgać i kląć się, że niczemu winien nie jest.

— Przyznaj się, ile za nią dostałeś? — rzekł Buffalmarco. — Powiedz prawdę, dali ci więcej jak sześć dukatów?

Calandrino w bezsilnym gniewie chwycił się za włosy.

— Daj już pokój temu, Calandrino — rzekł Bruno. — Wiemy przecie dobrze o wszystkim. Jeden z przytomnych<sup>73</sup> tutaj opowiedział nam przed chwilą, że trzymasz na wsi dla własnej przyjemności dziewczynę, którą obdarzasz wszystkim, co tylko przed żoną ukryć zdołasz. Zapewne podarowałeś jej także tę świnie. No, no, nie wypieraj się, wyglądasz nam na to! Nie lada z ciebie filut! Już raz wyprowadziłeś nas w pole w Mugnone, kazawszy nam zbierać czarne kamienie. Potem, wciągnąwszy nas w pułapkę, zostawiłeś nas samych, a na dobitkę wmówiłeś w nas, żeś cudowny kamień znalazł. Tak samo i teraz zapragnąłeś, przysięgam, zdurzyć nas, że ci ukradzono świnie, którą sprzedałeś albo też darowałeś komuś. Znamy już dobrze twoje sztuczki, pora była nauczyć się rozumu! A że staraliśmy się, bracie, usilnie dla ciebie, żeśmy pigułki zaczarowali, dawaj nam więc teraz za to po parze kapłonów, bowiem w przeciwnym razie o wszystkim żonie twojej doniesiemy.

Calandrino widząc, że za grosz mu nie wierzą, a nie chcąc białogłowskich wyrzutów znosić, dał im cztery kapłony. Oni zasię<sup>74</sup> nasolili świnie i odwieźli ją do Florencji, ostawiając Calandrino ograbionego i wystrychniętego na dudka”.

## OPOWIEŚĆ SIÓDMA. ZEMSTA UCZONEGO

*Pewien uczony miłuje wdowę, która kochając innego mężczyznę, każe filozofowi całą noc zimową na śniegu spędzić w oczekiwaniu. Uczony, mszcząc się za to, w lipcu trzyma wdowę cały dzień nagą na wieży, w czasie słonecznej spiekoty, wystawioną na ukąszenia gzów i much.*

Damy naśmiały się ogromnie z przypadków biednego Calandrino, a śmiałyby się były jeszcze więcej, gdyby nie współczucie ku niemu, jakie poczuły, dowiedziawszy się, że do straconej świni kapłony jeszcze dodać musiał. Gdy się nieco uciszyło, królowa wezwała Pampinę do opowiadania z kolei. Ta niezwłocznie w te słowa zaczęła:

<sup>72</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>przytomny (daw.) — tu: obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

<sup>74</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

— Drogie przyjaciółki! Często się zdarza, że za jeden figiel drugim gorszym odpłaca. Dlatego też nader nieroztropną jest rzeczą cieszyć się zbyt gorliwie z ośmieszenia bliźniego. Po wielokroć już ubawiliśmy się przednio, słysząc w tych opowieściach o psotach wyrządzonych różnym ludziom, aliści<sup>75</sup> o zemście któregośkolwiek z nich nikt jeszcze dotąd nie wspomniał. Ja tedy<sup>76</sup> biorę przed się opowiedzieć wam o srogim odwecie, który spotkał jedną z rodaczek naszych jako zasłużona kara za złośliwy figiel. O mały włos nie zginęła ona nędznie. Nie będzie bez pożytku dla was wysłuchać tej historii, nauczycie się z niej bowiem, że należy być ostrożnym w wyszydzeniu innych. Jeśli skorzystacie z mej nauki, mądrze uczynicie.

„Przed niedawnym czasem mieszkała we Florencji pewna młoda, wielce urodziwa białogłowa. Odnaczała się wielką hardością umysłu, pochodziła z wysokiego rodu i hojnie we wszystkie dobra tego świata uposażona była. Na imię jej było Helena. Owdowiawszy, nie chciała myśleć o powtórnym zamażpójściu, miłowała bowiem dzielnego i urodziwego młodzieńca, z którym za pośrednictwem zaufanej służki weszła w porozumienie. Wolna od wszelkiej troski, spędzała nader wesoło czas w jego towarzystwie.

Zdarzyło się podówczas, że powrócił do Florencji pewien młodzieniec szlacheckiego rodu, nazwiskiem Rinieri. W Paryżu długie dni nad księgami trawił, starając się zgłębić istotę i przyczynę wszechrzeczy, jak to wyższemu umysłowi przystało. Powrócił do Florencji nie po to, aby kupczyć nabytą wiedzą i na drobne ją rozmieniać, jak to wielu innych robi, lecz by żyć statecznie, ciesząc się powszechnym zachowaniem<sup>77</sup> tak dla głębokiej umiejętności swojej, jak i dla pochodzenia swego.

Często się jednak zdarza, że najmądrzejsi najłatwiej w pęta miłości wpadają. Tak się też z Rinierim stało.

Mianowicie gdy pewnego dnia przybył na zabawę ludową, wzrok jego padł na Helenę, która obyczajem wdów naszych, w czarne szaty ubrana była. Wydała mu się piękną i wdzięczną nad wyraz. »O jakże szczęśliwym — pomyślał sobie — nazwać by należało tego, komu by niebo udzieliło łaski trzymania jej całkiem nagiej w objęciach swoich«.

Spojrząwszy na nią bacznie raz i drugi i pomyślawszy, iż to, co jest wielkie i cenne, bez trudu pozyskać się nie da, postanowił wszelkiego starania i usilności dla podobania się jej użyć, mniemał bowiem, że przypadłszy jej do serca, z czasem także miłość jej pozyska i wdziękami jej cieszyć się pocznie. Młoda wdowa, niemająca bynajmniej zwyczaju spuszczenia w dół oczu i niemałego będąca o sobie mniemania, rzuciła tu i owdzie przemyślne spojrzenia i miarkowała dobrze tych, którzy się jej z zachwytem przyglądali. Zauważywszy Rinieriego, pomyślała ze śmiechem: »Chwała Bogu, nie po próżnicy dzisiaj tutaj przyszedłam. Jeśli się nie mylę, oto znów jeden dudek na lep złapany!«. Po czym jęła<sup>78</sup> ukradkowe spojrzenia na Rinieriego rzucać i tak się zachowywać, jak gdyby mu chciała dać do poznania, że i on obojętny jej nie jest. Postępując tak, wiedziała, że im więcej serc do niej lgnąć pocznie, tym większą cenę piękność jej zyska, zwłaszcza w oczach tego, komu swoją miłość oddała.

Tymczasem młody uczonej odrzucił precz od siebie wszystkie filozoficzne dociekania i całą duszą ku wdowie się obrócił. Mniemając, że się jej podoba, pod różnymi pozorami często koło jej domu przechadzać się począł. Dama, której to dla wiadomych już przyczyn wielce pochlebiało, udawała, że z przyjemnością go widuje; Rinieri, jeszcze silniej zachęcony, począł szukać środka porozumienia się z nią i wyrażenia jej uczuć swoich. Dlatego też zapoznał się ze służką damy, powiadomił ją o swoich afektach i prosił ją, aby starała się łaski wdowy dla niego pozyskać. Służka przyrzekła mu wszystko, czego tylko chciał, i pobięła natychmiast z wieścią do swojej pani, która, wysłuchawszy jej, wśród wybuchów gwałtownego śmiechu odrzekła w te słowa:

— Ach, czy widzisz, gdzie temu uczniowi przyszło postradać mądrość, którą przywiózł z Paryża. Trzeba, aby znalazł to, czego szuka. Gdy go jeszcze raz obaczysz, odpowiedz mu, że go mocniej miłuję niżli on mnie, aliści że baczę pilnie na dobrą sławę i że nie chcę stracić prawa spoglądania na inne białogłowy z podniesionym czołem. Jeżeli jest w samej

<sup>75</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>zachowanie (daw.) — tu: szacunek. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]



rzeczy takim mędrcom, za jakiego go wszyscy uważają, to na skutek takiego responsu<sup>79</sup> jeszcze mocniejszym do mnie afektem zapłonąć powinien.

Nieszczęsna, po trzykroć nieszczęsna, nie wiedziała, co to znaczy z uczonymi igrać!

Służka, spotkawszy młodego filozofa, powtórzyła mu wszystko, co jej pani zaleciła. Uczony z uniesieniem słowa te przyjął i nie mieszkając<sup>80</sup> obrócił się do wdowy z bardziej gorącymi prośbami, począł także listy do niej pisywać i miękczyć jej serce ciągłymi podarunkami. Wszystko to wielce wdzięczny oddźwięk znajdowało, tylko że responsy<sup>81</sup> były niewiele znaczące i że sprawa przez czas długi z miejsca nie postępowała. Wreszcie dama uznała za stosowne odkryć zaloty uczonemu kochankowi swemu, który już nieraz podejrzenia żywił i zazdrość objawiał. Dla przekonania go, że niesłusznie ją posądzał, posłała służkę swoją do uczonego, wciąż na nią nalegającego, i kazała mu powiedzieć, że wprawdzie dotąd nie mogła znaleźć sposobności do sprawienia mu ukontentowania, ale że ma nadzieję, iż w ciągu nadchodzących świąt Bożego Narodzenia będzie mogła bez nijakiego niebezpieczeństwa schadzki mu wyznaczyć. Dlatego też prosi go, aby wieczorem po wigilijnej wieczerzy czekał na nią, jeśli zechce, na dziedzińcu, a wówczas ona, gdy tylko będzie mogła, do niego pośpieszy. Uczony, poczytując się za najszcześniejszego z ludzi, przybył w oznaczonym czasie do domu wdowy. Służka, czekająca na jego przybycie, wpuściła go na podwórze i zamknęła za nim bramę, zalecając, aby się nie niecierpliwił i czekał na damę. Tymczasem dama zaprosiła tegoż wieczora do siebie kochanka swojego i zjadłszy z nim wieczerzę, opowiedziała mu wesoło o tym, co tej nocy uczynić zamysła.

— Teraz się dopiero przekonasz — dodała przy końcu — jak wielką żywię miłość do tego człeka, o którego tak głupio zazdrośny byłeś.

Miłośnik wysłuchał tych słów z wielkim ukontentowaniem i zapragnął ujrzeć w czynach to, co mu dama w słowach przyobiecała. Śnieg, obficie poprzedniego dnia padający, wszystko pokrył dokoła. Rinieri, czas niejaki na dziedzińcu spędziwszy, począł drzeć całym ciałem, inaczej jednak, niżby tego pragnął. Ale mając nadzieję rozgrzać się, znosił to cierpliwie. Tymczasem piękna dama rzekła do swego kochanka:

— Chodźmy teraz do mojej komnaty. Z małego okienka będziemy mogli widzieć wybornie, co robi przedmiot twojej zazdrości, a zarazem usłyszymy, jaki respons<sup>82</sup> da mojej służce, którą właśnie do niego wysłałam.

Stanęli tedy<sup>83</sup> przy okienku, skąd wszystko można było widzieć, nie będąc widzianym, i usłyszeli, jak służka uczonego pociesza.

— Rinieri! Pani moja zmartwiona jest nad wyraz, jak na złość bowiem dzisiaj wieczór właśnie przybył jeden z jej braci; uparł się jeść z nią wieczerzę, rozmawiał długo i dotąd jeszcze siedzi. Mniemam, że wkrótce już się wyniesie. Dla tej przyczyny pani moja do was zejść jeszcze nie mogła, wnet ją jednak obaczycie. Prosi was ona tylko, abyście się na nią nie gniewali za to przykre i długie oczekiwanie.

Rinieri, biorąc te słowa za dobrą monetę, odrzekł:

— Powiedz pani mojej, aby się o mnie nie troskała. Będę czekał cierpliwie. Ale skoro tylko będzie mogła przyjść do mnie, niechaj nie zwleka.

Służka wróciła do domu i spać legła.

Wdowa rzekła wówczas do swego miłośnika:

— Jakże? Czy myślisz, że gdybym go kochała, jak ci się uroiło, pozwoliłabym mu szczękać tam zębami?

To rzekłszy, pociągnęła ugłaskanego już miłośnika do sypialnej komnaty. Legli na łożo i długi kęs czasu w uniesieniach miłosnych przepędzili, drwiąc i śmiejąc się z nieboraka uczonego.

Rinieri tymczasem biegał po podwórzu tam i z powrotem, czyniąc wywijańce dla rozgrzania się. Szukał po próżnicy jakiegoś miejsca, osłoniętego przed wichurą, kłął długi pobyt brata i brał każdy posłyszany szmer za skrzyp drzwi od mieszkania wdowy. Wszystkie jednak jego nadzieje na niczym spęłzyły. Około północy dama, przerywając igraszki miłosne, rzekła do swego kochanka:

<sup>79</sup>respons (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>respons (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>respons (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

— Jak myślisz, najmilszy, co się tam dzieje z naszym uczonym? Co większym ci się zdaje: rozum jego czy miłość moja ku niemu? Zali i ten chłód, który z łaski mojej znosić musi, zazdrości z głowy twojej nie wybije?

— Serce moje — odrzekł kochanek — teraz widzę dowodnie, że tak jak ty moim największym skarbem, szczęściem i nadzieją jesteś, tak i ja jestem tym samym dla ciebie.

— Jeśli tak — odparła dama — to pocałuj mnie tysiąc razy na dowód, że mówisz prawdę.

Kochanek przytulił ją mocno do siebie i nie tysiącem, ale stem tysięcy pocałunków ją obsypał. Przepędzili jeszcze czas pewien na podobnych rozmowach i pieszczotach, po czym dama rzekła w te słowa:

— Wstańmy teraz na chwilę i obaczmy, czy ogień, o którym mój wielbiciel co dzień tak wiele pisał, nie przygasł w nim nieco.

Podnieśli się tedy oboje i wyjrawszy przez okienko, ujrzeli na podwórku nieszczęsnego filozofa, który pod wtór szczękających zębów, ucieszny taniec zawodził. Tak osobliwych podskoków nigdy jeszcze w życiu nie widzieli.

— A co? — rzekła wdowa do swego kochanka. — Nieprawdaż, że znakomicie uczę tańczyć moich wielbicieli? I to bez muzyki!

— Widzę, mój skarbie — odrzekł, śmiejąc się kochanek.

— Zejdźmy teraz w dół do drzwi — ciągnęła dalej dama. — Ty będziesz stał w milczeniu, a ja przemówię do niego. Zobaczymy, jakiego mi responsu<sup>84</sup> udzieli. Kto wie, może jego słowa ubawią nas jeszcze lepiej niżli jego widok.

To rzekłszy, wyszła po cichu z sypialnej komnaty, pociągnęła za sobą kochanka i przystąpiła do zamkniętych drzwi. Nie otworzyła ich jednak, tylko przez małą szparę przytłumionym głosem na uczonego zawołała. Usłyszawszy ten głos, zmarznięty biedak gorąco podziękował Bogu za bliskie, jak mu się zdało, wyzwolenie. Pobiegł ku miejscu, skąd go głos dochodził, i zawołał:

— Oto jestem, madonno! Na miłość Boską, otwórzcie, bowiem umieram z zimna.

— Wystawiam sobie — odrzekła dama — jak już zeszywnieć musiałeś. Mróz jest w samej rzeczy okropny, a śnieg sypie nieustannie. Podobno jednak w Paryżu częściej pada niż u nas. Nie mogę jeszcze ci otworzyć, bo mój przeklęty brat, którego lichy wieczorem przyniosło, nie odszedł do tej pory; za chwilę jednak pójść już sobie powinien, a wtedy ja piorunem zbiegnę do ciebie. Z wielką trudnością na tę chwilę wymknąć mi się udało; chciałam cię nieco pocieszyć i trochę cierpliwości ci dodać.

— O madonno — odparł filozof — błagam was na Boga, otwórzcie i pozwólcie mi w jakimś zakątku pod dachem czekać. Śnieżycą bowiem coraz się zwiększa, tak iż niepodobieństwem jest dłużej tutaj pozostawać. W innym miejscu czekał na was będę, dopóki sami zechcecie.

— Niestety, mój miły — odrzekła dama — nie mogę tego uczynić, drzwi te bowiem przy otwieraniu tak mocno skrzypią, że mój brat usłyszałby niewątpliwie, gdybym cię teraz wpuścić chciała. Ale pójdę i postaram się natrętnego gościa jak najprędzej wyprawić. Bądź dobrej myśli, zaraz powracam i otworzę ci.

— Śpieszcie się, pani — zawołał błagalnie uczony — i każcie dobry ogień rozniecić, abym się mógł rozgrzać przy nim, skostniałem bowiem tak na całym ciele, że sam siebie nie czuję.

— Jakże to? — spytała dama — przecie często mi pisałeś, że dzięki miłości swej do mnie w ciągłych płomieniach żyjesz. Mniemam tedy<sup>85</sup>, że ze mnie żartujesz. Aliści muszę się śpieszyć. Poczekaj jeszcze przez chwilę.

Kochanek, który ku wielkiej uciesze swojej całej tej rozmowie się przysłuchiwał, powrócił do łóża po społu z piękną wdową. Niewiele spali tej nocy, spędzając czas na drwinach i wyszydzeniu uczonego. Rinieri tymczasem jak bocian klekotał zębami. Poznawszy, że go wystrychnięto na dudka, wstrząsnął kilkakrotnie bramą, próbując, czy mu się jej otworzyć nie da. Nie znalazłszy jednak żadnego wyjścia, rzucać się począł, jak w klatce, przeklinając dokuczliwy chłód, niegodziwość damy, długość nocy i własną głupotę. Dzięki głębokiemu upokorzeniu i urazie, długa, płomienna miłość, jaką żywił dla damy,

<sup>84</sup>respons (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

zmieniła się w straszną, gwałtowną nienawiść. Tysiąc zamysłów najwyszukańszej zemsty przemknęło mu przez głowę. O zemście tej marzyć począł równie gorąco, jak do niedawna marzył o owładnięciu wdową.

Wreszcie długa i męcząca noc zaczęła zbliżać się ku schyłkowi, świtowi miejsca ustępując. Służka, wyuczona przez damę, zbiegła, otworzyła drzwi i czyniąc pozór, że gorąco uczonego współczuje<sup>86</sup>, rzekła:

— Bodajby przepadł ten człek niezbyty, który nam wczoraj tak w drogę wszedł. Całą noc nas męczył, ciebie zasię<sup>87</sup> o mały włos do śmierci z zimna nie przywiódł. Nie zważaj jednak na to wszystko i bądź pewien, że to, co się dzisiejszej nocy nie stało, kiedy indziej do skutku przywiedzione zostanie. Co się zaś mojej pani tyczy, to wyznam ci tylko tyle, że nigdy jej bardziej strapioną nie widziałam.

Uczony, do głębi duszy wzburzony, wiedząc, że groźby są tylko bronią dla tego, komu grożą, zamilknął, zamknął w głębi piersi wszystko, co się z niej gwałtem wydobyć chciało, i nie zdradzając gniewu, odrzekł łagodnym głosem:

— W samej rzeczy, spędziłem dzisiaj najgorszą noc w życiu moim, najgłębiej jednak przekonany jestem, że pani twoja nic nie zawiniła. Zbiegła przecie nawet, litością zdjeta, na dół, aby się usprawiedliwić i pocieszyć mnie; zresztą jak powiadasz, to, co się dzisiaj nie dokonało, kiedy indziej dokonać się może, poleć mnie więc jej względom i zostań z Bogiem.

Rzekłszy te słowa, Rinieri, przemarznięty do kości, powlókł się z wysiłkiem do domu. Wszedł do komnaty, rzucił się na łożo i zasnął, alieci zbudziwszy się poczuł, że jego ręce i nogi są jakby paralizem tknięte. Posłał tedy co żywo po doktora, opowiedział mu, że o mały włos nie zmarł, i o ratunek poprosił. Doktorzy nie litowali<sup>88</sup> starań i wysiłków, aby go do zdrowia przywrócić i skurczone jego nerwy na nowo rozciągnąć; gdyby jednak nie młodość i nie nastanie cieplej pory, zapewne nigdy by nie ozdrowiał. Wstawszy skrzepiony z łoża boleści, ukrył swoją nienawiść głęboko i począł udawać, że po dawnemu jest w pięknej wdowie rozmiłowany.

Po pewnym czasie los uśmiechnął się młodemu uczoneму, nasuwając mu do zemsty sposobność. Młodzieniec, którego wdowa miłowała, nie bacząc na jej afekt ku niemu zakochał się w innej białogłowie, przestał zważać na dawną kochankę swoją i coraz bardziej ją zaniedbywał. Piękna wdowa usychała we łzach i smutku. Wówczas służka jej, pełna najgłębszego współczucia dla swojej pani, nie wiedząc, jakby jej troskę rozegnać, ujrawszy uczonego, przechadzającego się jak zwykle, wpadła na nedorzeczną myśl, że miłość niewiernego czarodziejskimi środkami powrócić by można było i że uczony nasz w podobnych sprawach zawołanym mistrzem być musi. Z zamysłem swym zwierzyła się damie, która również zbytnią mądrością nie celowała. W każdym razie nie miała tyle rozsądku, aby rozważyć, że gdyby Rinieri znalazł się na czarnoksiężstwie, byłby go niezawodnie na swoją korzyść użył. Dlatego też z radością przyjęła radę służki i poleciła jej udać się natychmiast do naszego filozofa z zapytaniem, zali<sup>89</sup> zechce jej dopomóc, a także przyobiecać mu, że w nagrodę niechybnie powolną będzie jego pragnieniom.

Służka zęcnie z poselstwa się wywiązała. Rinieri, wysłuchawszy ją, uczuł wielką radość i rzekł sam do siebie: »Bogu Najwyższemu chwała! Przyszedł wreszcie czas, gdy będę mógł sprawiedliwie ukarać tę niegodziwą kobietę, która mi ciężką obrazą za miłość zapłaciła«.

— Powiedz pani swojej — rzekł do służki — aby się tą sprawą zbytnio nie zatrudniała. Gdyby nawet jej kochanek do Indyj wyjechał, potrafię go zmusić do powrotu i błagania jej o przebaczenie. Sposób, którego tu użyć powinna, zwierzę jej w miejscu i w porze, które sama wybierze. To jej powtórz i pociesz ją w mym imieniu.

Służka zaniosła ten respons<sup>90</sup> swojej pani. Po krótkiej naradzie postanowiły naznaczyć naszemu uczoneму spotkanie w Santa Lucia del Prato. Wdowa, spotkawszy się sam na sam z uczoneym, nie pomyślała nawet o tym, jaką mu niegdyś krzywdę wyrządziła, z pełną ufnością zwierzyła mu się z wszystkich spraw swoich, zaklinając go, aby jej dopomógł.

<sup>86</sup>gorąco uczonego współczuje — dziś popr.: gorąco uczoneму współczuje. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>litować (daw.) — tu: żalować, skąpić. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>respons (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

— Madonno — odparł uczony — to prawda, że wśród różnych umiejętności uczyłem się w Paryżu także i nekromancji<sup>91</sup>. Owładnąłem nią, o ile to możliwe. Ponieważ jednak umiejętność ta jest rzeczą panu Bogu przeciwną, przysiągłem sobie tedy<sup>92</sup>, że nigdy się do niej nie ucieknę ani dla siebie, ani dla kogokolwiek innego. Aliści miłość, którą dla was żywię, taką władzę ma nade mną, że niczego wam odmówić nie jestem w stanie. Dlatego też uczynię wszystko, czego żądacie, choćbym w szpony diabelskie miał za to popaść. Muszę jednak was uprzedzić, że nekromancja jest rzeczą niełatwą wielce; nawet pojęcia mieć nie możecie, z jakimi okropnościami ona się łączy, zwłaszcza jeśli ktoś przy jej pomocy utraconą miłość chce sobie powrócić. Osoba, o którą chodzi, winna sama wypowiedzieć zaklęcia, działając nocą bez świadka w miejscu odosobnionym. Wszystko to wielkiej przytomności umysłu wymaga. Dla tych więc racyj wątpię, abyście wy, pani, podobnego przedsięwzięcia podjąć się chcieli.

Dama, bardziej zakochana niż rozumna, odparła na to:

— Miłość dręczy mnie tak okrutnie, że nie masz rzeczy, na którą bym się nie odważyła, byleby tylko odzyskać tego, co mnie bez powodu opuścił; nie obawiaj się tedy o mnie i powiedz, w czym mam ową siłę umysłu ukazać.

Uczony nasz, przejęty myślą pomsty, rzekł:

— Madonno, uleję dla was figurkę z ołowiu, mającą przedstawiać tego, kogo odzyskać chcecie. Jeśli pragniecie, aby czary skutek swój wzięły, musicie w czasie nowiu, będąc obnażona całkiem, siedem razy bez świadka przed północą w bieżącej wodzie się zanurzyć. Potem, wciąż jeszcze naga, wejdźcie na drzewo albo na dach jakiegoś opuszczonego domu i nie puszczając z rąk posążka z obliczem ku północy obróconym, siedem razy powtórzycie pewne wyrazy, które wam dla pamięci zapiszę. Gdy je wymówicie, ukaza się wam dwie wielce urodziwe dziewice i zapytają was uprzejmie, czego pragniecie. Dziewicom tym musicie szczegółowie<sup>93</sup> pragnienie swe przedstawić, miejcie się jednak na pieczy, aby przypadkiem jednego miast<sup>94</sup> drugiego nie wypowiedzieć. Dzieweczki, wysłuchawszy słów waszych, odejdą, a wówczas i wy będziecie mogli udać się na miejsce, gdzie suknie złożone zostały, ubrać się i do domu powrócić. Wierzę, nie upłynie od tej chwili nawet połowa następnej nocy, a już kochanek wasz powróci z płaczem, błagając o łaskę i litość. Wiedźcie przy tym, że odtąd żadna kobieta na świecie od was go oderwać nie zdoła.

Dama, wysłuchawszy tej przemowy, uwierzyła niezachwianie w słowa uczonego.

Zdało się jej, że kochanka swego już w objęciach trzyma. Dlatego też z radością zawołała:

— Bądź pewien, że wypełnię najściślej wszystko, co mi rozkażesz. Nadspodziewanie dobrze się składa, gdyż posiadam niewielką majątność w dolinie Arno, położoną prawie nad samym brzegiem rzeki. Ponieważ teraz mamy lipiec, z prawdziwą przyjemnością kąpieli zażyję. Przypominam sobie także, że niedaleko od brzegu wznosi się mała wieżyczka, opuszczona całkiem. Czasem tylko wchodzi na nią po drabinie pasterze, aby rozejrzeć się po samotnej okolicy za zbłąkanymi z trzody bydłętami. Miejsce to jest całkowicie na uboczu. Tam się wyspinam i ani wątpię, że tam najlepiej wszystko, co mi przykażesz, wypełnię.

Uczony nasz, który znał od dawna posiadłość damy i wieżyczkę, niezmiernie był ucieszony, że wszystko idzie po jego myśli.

— Madonno — rzekł — nigdy nie byłem w okolicy, którąście wymienili, nie znam tedy ani posiadłości waszej, ani owej wieży. Jeśli jednak rzecz się ma w istocie tak, jak mówicie, lepszego miejsca szukać nam nie trza. Gdy czas stosowny przyjdzie, przyślę wam ów posążek wraz z formułą zaklęcia. Nim jednak odejdę, pozwólcie, abym wam raz jeszcze daną obietnicę przypomniał. Pozyskawszy cel pragnień swoich i przekonawszy się, że wam prawdziwą przysługę oddałem, wspomnijcie o mnie i o przyrzeczonej mi nagrodzie.

Dama potwierdziła swoje przyrzeczenie, po czym pożegnała go i odeszła.

<sup>91</sup>nekromancja (z gr. *νεκρομαντεία*) — rodzaj praktyk magicznych polegających na przyzywaniu przez prowadzącego obrzęd (nekromantę) duchów zmarłych np. w celu poznania przyszłych wydarzeń; tu ogólnie: wiedza tajemna, praktyki czarnoksiężskie. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

Uczony, radując się tak pomyślnym biegiem sprawy, po powrocie do domu zajął się natychmiast ulaniem czarodziejskiego posążka, który pokrył dziwacznymi znakami i napisał zaklęcia, jakie mu na myśl przyszły. W wybranym dniu figurkę wraz z zaklęciem odesłał wdowie, dodając, aby następnej nocy bez zwłoki do dzieła przystąpiła. Po czym wraz ze służącym swoim udał się tajemnie do domu jednego z swoich przyjaciół. Dom ten znajdował się w pobliżu wieżyczki. Prawie jednocześnie wyruszyła w drogę do swej posiadłości nasza wdowa w towarzystwie służki. Gdy nastąpiła noc, Helena udała, że ją sen morzy, i służkę swoją oddaliła, po czym wykradła się cichaczem z domu i podążyła na brzeg rzeki Arno, kierując się ku wieżyczce. Przybywszy na miejsce, rozejrzała się dobrze na wszystkie strony, chcąc się upewnić, czy jej nikt nie widzi. Rozebrawszy się i ukrywając swe suknie pod krzakiem, siedmiokrotnie zanurzyła się w wodę z posążkiem w ręku, a następnie, nie wypuszczając z rąk posążka, skierowała się do wieżyczki. Rinieri po zapadnięciu nocy znalazł się również na brzegu Arno. Ukrywając się wśród krzewów, w pobliżu wieży rosnących, widział wszystko, co wdowa czyniła. Helena przeszła tuż obok niego obnażona całkiem. Uczony obaczył, że białość jej ciała nocne zwyciężyła ciemności i że kształty jej urodzive są nad wyraz. Pomyślawszy zaś<sup>95</sup>, co to piękne ciało za chwilę przecierpieć będzie musiało, uczuł litość niejaka. Jednocześnie i żądze nękać go poczęły, dzięki czemu ów, co dotąd spokojnie leżał, w górę łeb podniósł. Uczony chciał już wyskoczyć z kryjówki, pochwycić piękną wdowę i nasycić się jej wdziękami. Gdy jednak wspomniawszy, kim jest i jakiej obelgi doświadczył, zdusił litość i cielesne chęci, zapłonął na nowo oburzeniem, za czym pozostał wierny swemu zamiarowi i przepuścił spokojnie wdowę mimo siebie.

Helena weszła na wieżę i obróciwszy się twarzą ku północy, poczęła zaklęcia odmawiać. Uczony tymczasem podkrał się pod wieżę, zabrał cichaczem drabinę i jął<sup>96</sup> czekać spokojnie na to, co dalej nastąpić miało. Wdowa, powtórzywszy siedem razy tajemnicze zaklęcie, jęła oczekiwać na pojawienie się dwóch zapowiedzianych dziewczic; czekała jednak tak długo, aż zziębła okrutnie od nocnego chłodu i zbliżający się świt ujrzała. Zmartwiona wielce tym niepomyślnym skutkiem czarów i niejasnym podejrzeniem tknięta, rzekła półgłosem do siebie: »Kto wie, czy Rinieri nie chciał mi zapłacić za ową noc nieprzyjemną, którą przepędził kiedyś na dziedzińcu mego domu. Jeśli jednak miał ten zamiar, to zły rodzaj zemsty sobie wybrał, bowiem nie tylko ta noc o wiele krótsza była niżli tamta zimowa, ale nadto i chłód dzisiejszy z ówczesnym nawet się porównać nie da«.

Helena, nie chcąc, aby dzień ją zastał na wieży, postanowiła zejść na ziemię, aliści ujrzała, że drabina znikła. Wówczas nogi odmówiły jej posłuszeństwa, tak iż srodze zrozpaczona na taras wieży upadła. Gdy po pewnym czasie nieco do siebie przysła, poczęła gorzko płakać i wyrzucać sobie, że tak głupio zaufała człowiekowi, któremu ciężką znie wagę wyrządziła i który jej zawziętym wrogiem stać się musiał.

Długi kęs czasu na tych jękach i wyrzekaniach strawiła, po czym znów głowić się poczęła, w jaki sposób z wieży na ziemię się spuścić, aliści nic nie znalazłszy, nowymi jękami wybuchnęła: »O ja nieszczęsna — rzekła do siebie — cóż powiedzą bracia moi, krewniacy, sąsiedzi i cała Florencja, gdy mnie tu ktoś naga znajdzie! Dobra sława, którą dotychczas posiadam, pójdzie na marne. Gdybym się nawet wykrętami usprawiedliwić umiała, przeklęty filozof, który zna dobrze wszystkie moje sprawy, nie dozwoli mi uczynić tego. O ja nieszczęsna! W tej chwili straciłam bezpowrotnie ukochanego młodzieńca i cześć moją!«.

Myśl ta takim bezmiernym bólem ją przejęła, że już była gotowa rzucić się z wieży na ziemię.

Tymczasem słońce wzniosło się ku górze. Helena zbliżyła się do muru wieży, patrząc, czy gdzie w pobliżu nie kręci się z bydłem jakiś pasterz, którego by mogła do służki swej posłać. Miał<sup>97</sup> pasterza spostrzegła filozofa, który właśnie z krótkiej drzemki pod krzewem się ocknął.

— Dzień dobry, madonno — zawołał — zali dziewczice jeszcze nie przybyły?

<sup>95</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

Wdowa, usłyszawszy te słowa, wybuchnęła od nowa głośnym płaczem i zaklinać go ją<sup>98</sup>, aby zbliżył się ku wieży w celu porozumienia się z nią. Uczony nie dał się długo prosić. Dama położyła się jak długa na dachu wieży i wychyliwszy głowę przez otwór rynny, zawołała ze łzami:

— Wiem, Rinieri, żeś cię o bardzo złą noc przyprawiła, aliści zemściłeś się za to dostatecznie, chociaż bowiem lipiec teraz mamy, tej nocy, stojąc naga na wieży, o mało nie skrzeplam z zimna; przy tym krzywdę, którą ci wyrządziłam, i głupotę, która mnie pchnęła do zawierzenia słowom twoim, tak gorzko oplakałam, że dziw, iż mi oczy pospołu ze łzami nie wypłynęły. Zaklinam cię tedy<sup>99</sup>, nie na miłość dla mnie, bowiem niepodobną do wiary jest rzeczą, abyś mnie kochał, ale na cześć twoją, jako szlachcica. Niechaj to, coś dotychczas uczynił, będzie dostateczną pomstą za ujmę ci wyrządzoną. Podaj mi suknie i pozwól, abym się stąd oddalić mogła. Nie obdzieraj mnie z tego, czego potem, choćbyś nawet i chciał, oddać mi nie będziesz w stanie, nie obdzieraj mnie z dobrej sławy mojej.

Prawda, że niegdyś pozbawiłam cię rozkoszy, cierpienie ci przyczyniając, aliści obiecuję ci tę jedną noc tysiącem innych wynagrodzić. Poprzestań więc na tym, coś dotąd uczynił, umiej się mścić jako mąż godny. Niechaj ci starczy to, że mogłeś wziąć pomstę i dowodnie mi to okazałeś. Nie nadużywaj przewagi swej nad biedną kobietą, nie ma bowiem w tym sławy dla orła, że gołębicę pokonał. Jeszcze raz zaklinam się na miłość Boską i w imię czci twojej cię błagam, abyś miał litość nade mną.

Filozof, który w hardej duszy swej rozważał krzywdę sobie wyrządzoną, widząc łzy i słysząc błagania wdowy, odczuwał w głębi serca radość i boleść na przemian. Radość ta płynęła z osiągnięcia upragnionej nade wszystko pomsty, boleść zrodziła się z uczucia litości nad nieszczęśliwą. Ludzkość nie zdołała jednak przemóc zawziętości. Dlatego też rzekł w te słowa:

— Madonno Heleno! Gdyby prośby moje (których, wierę<sup>100</sup>, ani tak łzami zwilżyć, ani tak ocukrować jak ty nie umiałem), gdyby prośby moje owej nocy, kiedy na pokrytym śniegiem dziedzińcu z zimna prawie umierałem, tyle mi się były przydały, byś mnie bodaj na chwileczkę pod dach wpuściła, zaiste dzisiaj daleko łatwiej byłoby mi do błagań twoich się przychylić. Zresztą, jeśli ci tak bardzo o dobrą sławę chodzi, bardziej niż w przeszłości, i jeśli tak okropną dla ciebie jest rzeczą stać tam nago na górze, to obróć prośby swoje ku temu, w którego objęciach nie było ci przykro leżeć nago owej pamiętnej nocy, gdy ja zębami szczekał i jak zwierzę miotał się po dziedzińcu śniegiem zaslanym. Jego proś o pomoc, jemu każ podać sobie suknie i drabinę do wieży przystawić, w nim współczucie obudzić się postaraj, dla niego bowiem tysiąc razy cześć swą narażałaś, o którą dbasz tak bardzo. Dlaczegoż jego na ratunek nie wołasz? Któż, jak nie on, pomoc ci nieść powinien? Wszak miłośnicą jego jesteś; komuż zatem pomagać winien, kogo strzec, jeśli nie ciebie? Wołaj go tedy, głupia białogłowo, i przekonaj się, zali miłość, którą dla niego żywisz, a także mądrość jego i twoja własna zarazem zdołają cię od mojej głupoty ocalić.

Przypomnij sobie dobrze, jak się go wśród karesów pytałaś, co jest większe: moja głupota czy też miłość, którą dla niego żywisz? Nie okazuj mi teraz wielkiej swojej szczodrobliwości i nie częstuj mnie hojnie tym, czego już nie pragnę, a czego odmówić mi nie byłabyś w stanie, gdybym tego pragnął!

Zachowaj te rozkoszne noce na później dla twego miłośnika, jeśli oczywista z życiem stąd ujdiesz. Dla siebie i dla niego je przeznacz; ja poprzestanę na tej jednej, którą otrzymałem. Wystarczy raz być wyszydzonym. Jak widzę, dawna chytryść jeszcze ze słów twoich przebija; silisz się pochwałami wspaniałomyślność moją obudzić, zwiesz mnie człkiem szlachetnym i godnym i spodziewasz się, że dzięki wielkoduszności złość twoją w niepamięć puszczę. Aliści pochlebstwa twoje nie zdołają już teraz, tak jak niegdyś twe obietnice, zaćmić oczu mojej duszy. Poznałem wreszcie sam siebie. Mój długi pobyt w Paryżu nie nauczył mnie tyle o sobie samym, ile ty w ciągu jednej nocy. Gdybyśmy nawet założyli, że wspaniałomyślny jestem, to ty przecie nie należysz do ludzi, wobec których tę cnotę objawiać należy. Kresem pokuty dla takich dzikich potworów jak ty, a również i kresem pomsty nad nimi śmierć tylko sama być winna. Jeśli ja orłem nie jestem, to i z ciebie bynajmniej nie gołębicą, ale żmija jadowita, którą jako mego zaklę-

<sup>98</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

tego wroga, z zaciekłością i srogością, równą twojej, dręczyć postanowiłem. To, co z tobą czynię, nie zemstą, ale karą właściwie nazywać się winno, zemsta bowiem zwykle przewyższa obrazę, mój zaś odwet — cokolwiek bym uczynił — nie zdoła nigdy twojej winie dorównać. Gdybym się chciał pomścić, biorąc pod uwagę obecny stan duszy mojej, który tobie zawdzięczam, to życie twoje, co mówię, życie stu tobie podobnych białogłów nie wystarczyłoby mi po temu, bowiem zabiłbym nic więcej, jeno<sup>101</sup> podłą, złą i przewrotną białogłową. Czymże, do czarta, jesteś lepszą (gdyby ci odjąć urok pięknego oblicza, które za lat kilka czas pomarszczy i do cna popsuje), czymże jesteś lepszą od każdej nędznej dziewczki? A jednak taka nędzna istota jak ty, o mały włos nie przyprowadziła o śmierć szlachetnego człowieka, jak mnie nazwałaś przed chwilą, którego życie w ciągu jednego dnia na znacznie więcej przydać się może niżli stu tysięcy tobie podobnych przez cały czas istnienia świata. Chcę ci tedy pokazać, dzięki tej karze, którą znosisz, co to znaczy drwić, abys jeżeli wyjdiesz stąd żywa, w przyszłości w podobny błąd nie popadła. Jeśli zaś masz już tak nieodpartą i gwałtowną żądę wydostania się stąd, to dlaczego nie skaczesz na dół? Mniemać by należało, że przy pomocy bożej kark skrócić powinnaś i tym sposobem uwolnić się od męczarni, które jak powiadasz, srodze cię dręczą. Uczyniłabyś mnie wówczas najszczęśliwszym na świecie człowiekiem. Więcej ci już nic do powiedzenia nie mam. Kończę tedy i dodam tylko: moim staraniem było, abys się na tę wieżę dostała, teraz twoją jest już rzeczą wynaleźć środek zejścia z niej, jak swego czasu wynalazłaś środek wydrwienia mnie.

W czasie tej przemowy filozofa nieszczęśliwa wdowa bez przerwy łzami się zalewała. Tymczasem słońce podnosiło się coraz wyżej. Helena, widząc to, rzekła w te słowa:

— Okrutny człeku! Jeżeli owa przeklęta noc tak srogą dla ciebie była, dzięki czemu wina moja tak wielką ci się teraz wydaje, że ani młodzieńcza piękność moja, ani łzy rzewne i błagania pokorne zmiękczyć cię nie są w stanie, to daj się przynajmniej nieco wzruszyć i pozbadź się swej okrutnej surowości przez wzgląd, iżem ci zaufała od nowa i wszystkie tajemnice moje ci odkryła, dając ci tak upragnioną sposobność przekonania mnie o winie mojej. Gdybym ci się bowiem tak ufnie w ręce nie oddała, nigdy byś był nie znalazł środka pomszczenia się w tak skuteczny sposób, czego tak gorąco pożądałeś. Dlatego też przestań być gniewny na mnie i chciej mi na ten raz przebaczyć.

Jeżeli przebaczysz mi i pozwolisz mi stąd odejść, będę gotowa wyrzec się całkiem wiarołomnego młodzieńca, ciebie zasię<sup>102</sup> za jedyne go pana mego i kochanka uznam, mimo że piękność moją lekce sobie ważysz, masz za nietrwałą i nie szacujesz jej wysoko. Jednocześnie, jakkolwiek by ta piękność, zarówno moja, jak i innych białogłów była, tyle wiem z pewnością, że będzie ona stanowiła przedmiot pożądania i rozkosznych uniesień wielu młodych ludzi, do których i ty się zaliczasz. Nie wątpię, że mnie wysłuchasz, bo chociaż okrutnie ze mną dotąd się obchodziłeś, przecie uwierzyć nie mogę, abys w samej rzeczy pragnął ujrzeć mnie rzucającą się z tej wieży i ginącą haniebną śmiercią na oczach twoich. Którym to oczom, jeśli nie kłamałeś wówczas, jak dziś kłamiesz, tak bardzo się podobałam. Na Boga, miej litość nade mną! Słońce mocno przypiekać zaczyna i tak jak w nocy chłód mnie dręczył, tak teraz znowu żar mnie trapi okrutnie.

Filozof, znajdujący osobliwą uciechę w tej wymianie słów, odparł:

— To prawda, madonno, że ufność twoja wydała cię w ręce moje. Płynęła ona jednak nie z miłości do mnie, jeno z pragnienia odzyskania tego, kogoś utraciła, na tym większą tedy pomstę zasługujesz. Jeśli zaś przekonana jesteś, że tylko tą drogą mogłem dojść do wywarcia zemsty nad tobą, to ci rzeknę, że głupio mniemasz. Tysiąc innych środków miałem w pogotowiu, tysiącem sieci byłbym cię omotał udając, że cię kocham, tak iż w ten czy w inny sposób w moc moją byś popadła. Każdy z owych środków pomsty pociągnąłby za sobą jeszcze większy twój srom<sup>103</sup> i karę niżli ten, którego obecnie użyłem. Jeśli go wybrałem, to jedynie dlatego, aby się wcześniej pomstą nasycić. Gdyby mnie nawet wszystkie inne plany odwetu zawiodły, to zawsze jeszcze miałem w ręku pióro, którym ciebie i sprawki twoje mógłbym tak opisać, że czytając te słowa, tysiąc razy przeklinałabyś dzień swoich narodzin. Potęga pióra jest o wiele groźniejsza, niżli sądzą ci, którzy jej na sobie nie wypróbowali. Ja zaś klnę się na Boga, który oby mi rozkosz obecnej pomsty

<sup>101</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>srom (daw.) — wstyd, hańba. [przypis edytorski]



w takiej sile do końca zachował, jaką mi dał odczuwać z początku, napisałbym o tobie rzeczy takie, że czytając je, nie tylko przed innymi, ale i przed sobą samą rumieńcem wstydu byś się zalewała i oczy sobie pragnęła wydrzeć, aby siebie samej więcej nie widzieć. Nie wyrzucaj więc morzu, że wezbrało wodami małego strumyka! O miłość twoją i o to, żeby cię posiadać, jak już powiedziałem, nie dbam zgoła. Jeśli możesz, oddawaj się temu, do któregoś dotąd należała, a którego ja teraz za to, że tak z tobą postąpił, miłuję tyle, ile go niegdyś nienawidziłem. Wy, białogłowy, pożądacie miłości młodzieńców i durzycie się w nich dlatego, że mają świeżą cerę, czarniejsze brody, że walczą na turniejach lub też wyskakują w tańcu. Wszystkie te same przymioty posiadali mężczyźni dziś nieco bardziej dojrzały, którzy wiedzą to, czego tamtym dopiero uczyć się należy. Tamtych za lepszych jeźdźców uważacie, bo więcej mil na dzień przebyć są zdolni. Młodzież w samej rzeczy mocniej was przetrząść może, aliści przyznać także trzeba, że ludzie żrali<sup>104</sup> wiedzą lepiej, gdzie raki zimują. Rzecz wiadoma, że smaczna odrobina o wiele więcej jest warta niż obfitość bez smaku. Ostry kłus strzęsie i umęczy prędko każdego, choćby najmłodszego jeźdźca, gdy tymczasem powolniejszy, choć nieco później, ale za to przyjemniej i wygodniej do miejsca spoczynku doprowadzi.

Wy, nieroztropne białogłowy, nie podejrzewacie nawet, ile zła pod tym marnym powabem powierzchowności się kryje. Młodzieńcy nigdy na jednej nie poprzestaną, pożądają oni bowiem każdej, którą ujrzą. Każdej uważają się godni. Dlatego też miłość ich stała być nie może. Najlepszym świadectwem tego jesteś ty sama. Wydaje im się, że zasługują na szacunek i miłość swych pań, a większej chluby nie znajdują, jak pysznić się łaskami tych, które posiadli. Ten ich błąd wydał tyle kobiet w ręce mnichów, którzy przynajmniej zachowują milczenie. Jeśli mniemasz, że nikt, krom<sup>105</sup> mnie i służącej twojej, miłostek twoich nie jest świadom, grubo się mylisz. Cała ulica, na której mieszkasz, i wszyscy sąsiedzi tylko o tym mówią. Jak to jednak często się zdarza, rzeczy takie najpóźniej dochodzą do uszu osoby, której dotyczą. A wreszcie okradają was oni, gdy mężowie dojrzały obdarzają was. Skoroś więc już tak zły wybór uczyniła, ostań przy swoim miłośniku, mnie zaś, wzgardzonego, pozostaw innej, znalazłem bowiem kochankę zacniejszą od ciebie, która lepiej niż ty na wartości mojej poznać się umiała. Jeżeli zaś chcesz zabrać na tamten świat prawdziwsze pojęcie o rzeczach, które mimo wyjaśnień moich ciemne dla ciebie pozostały, a także przekonać się dowodnie o tym, czego moje oczy pragną, to zechciej jak najspieszniej z tej wieży na dół się rzucić. Mniemam, że dusza twoja, w pazurach diabelskich już się znajdująca, będzie mogła upewnić się, że oczy moje widokiem upadku twego wcale się nie przeraża. Obawiam się jednak, że nie zechcesz podobną rozkoszą mnie obdarzyć. Dlatego też radzę ci, abyś gdy słońce dopiekać pocznie, wspomniła na ów mróz, na który mnie naraziłaś, i zmieszała go z obecnym skwarem, wówczas ani chybi słoneczny żar łagodnym ci się wyda.

Niepocieszona wdowa z tych słów uczonego poznała wreszcie wyraźnie jego okrutny zamysł. Wybuchnęła tedy<sup>106</sup> płaczem od nowa i rzekła:

— Jeżeli już nic litości wzbudzić w tobie nie może, to niechaj cię pobudzi do niej chociaż miłość, którą pałasz do owej damy, o tyle rozumniejszej ode mnie i jak sam mówisz, miłującej cię wielce. W imię jej miłości zaklinam cię, przebac mi, podaj mi suknie i wypuść mnie z tego miejsca udręki.

Uczony na te słowa parsknął śmiechem, po czym, widząc, że trzecia godzina ranna<sup>107</sup> już od dawna minęła, odrzekł:

— Zaiste, teraz gdyś mnie na tę damę zaklęła, odmówić twojej prośbie nie mogę. Powiedz mi więc, gdzie się twoje suknie znajdują, a pójdę po nie i uwolnię cię stąd.

Wdowa uwierzywszy jego słowom uspokoiła się nieco i opisała mu miejsce, gdzie szaty ukryła. Rinieri oddalił się od wieży, poleciwszy swemu słudze, aby się nie ważył odchodzić na krok, ale został w pobliżu i wszelkimi siłami bronił do tego miejsca przystępu, dopóki on sam nie powróci. Wydawszy to zlecenie, pośpieszył do domu swego przyjaciela, gdzie posiliwszy się do woli, na spoczynek się udał.

<sup>104</sup>żrali (daw.) — dojrzały. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>trzecia godzina ranna — tj. ok. ósmej, licząc wg daw. miary i oznaczając jako pierwszą godzinę wschodu słońca. [przypis edytorski]

Wdowa tymczasem, na krótki czas głupią nadzieją nieco skrzepiona, siedziała na wieży w głębokim smutku, tuląc się do muru od strony, gdzie leżał wąski pas cienia. Tysiąc gorzkich myśli ją dręczyło. To wątpiła, to znów wierzyć poczyniała, że uczony z sukniami przybędzie, wreszcie myślami błędząc tu i tam, zmożona bólem, ani oka w nocy nie zmrużywszy, teraz wreszcie zasnęła.

Tymczasem słońce wzniosło się wysoko i poczęło piec niemiłosiernie pionowymi promieniami swymi delikatne i niczym nieosłonięte ciało wdowy, które nie tylko opaliło się, ale i w drobną siatkę pękać poczęło. Śpiąca poczuła ból tak wielki, że ocknęła się. Przy pierwszym poruszeniu zdało jej się, że skóra płatami z niej opada niby pergamin spalony, gdy go pociągnąć. Głowa bolała ją tak, jakby za chwilę pęknąć miała. Dach wieży był tak rozpalony, że wdowa, na jednym miejscu ustać nie mogąc, z płaczem to w tę, to w tamtą stronę się rzuciła. Na domiar złego zupełna cisza panowała w powietrzu; tysiąc much i bąków usiadło na ranach ciała i tak je kłuło, że każde ukłucie zdawało się nieszczęsnicy ciosem sztyletu. Helena nieustannie machała rękoma, zlorzcząc bez przerwy doli swojej, kochankowi i uczonemu. Krom spiekoty, much i owadów dręczył ją głód, a zwłaszcza pragnienie. Nękana na domiar wszystkiego tysiącem natrętnych myśli, do głębi nimi wstrząśnięta, skoczyła na równe nogi, wypatrując, zali nie obaczy w pobliżu kogoś, kto by mógł jej z pomocą pośpieszyć. Cokolwiek by się stać miało, gotowa była ją zawezwać, aliści złowrogi los i tu jej nie sprzyjał. Okoliczni wieśniacy z powodu skwaru z pól zeszedli; nikt tego dnia w całej okolicy do pracy w tę stronę nie wyszedł. Poprzestano na młóceniu zboża w pobliżu domów. Helena nie słyszała nic krom koników polnych i nie widziała niczego prócz fal Arna, które widokiem swoim powiększały jeszcze palące ją pragnienie. Nieszczęsna wdowa patrzyła na krzewy, cieniste gęstwiny i domy, a widok ten męczył ją okrutnie. Cóż mam rzec jeszcze o cierpieniach biednej białogłowy? Słońce z góry, rozpalony dach pod stopami, ukłucia much i bąków, wszystko to tak ją umęczyło, że ciało jej, które niedawno białością swoją cienie nocy zwyciężało, teraz czerwone całe jak szkarłat, przypieczone i zbroczone krwią, czyniło z niej istotę tak szpetną, jak to tylko wystawić sobie można. Utraciwszy wszelką nadzieję, rady żadnej nie widząc, Helena już tylko na śmierć czekała. Tymczasem minęła ósma godzina<sup>108</sup> i nasz uczony się przebudził. Ocknąwszy się, natychmiast pomyślał o wdowie i podążył ku wieży, aby obaczyć, co się z ofiarą jego stało. Sługę swego, który jeszcze nic nie jadł, wysłał, by się posilił. Wdowa, ujrawszy go, chwiejąc się, pełna lęku zbliżyła się do rynny, usiadła przy niej i płacząc rzewnie, rzekła:

— Rinieri, pomściliś się już nad wszelką miarę. Jeślim ja ciebie nocą na dziedzińcu moim o mało nie zamroziła, to ty w dzień upiekłeś mnie na tej wieży, a raczej spaliłeś, dając mi przy tym odczuć mękę głodu i pragnienia. Zaklinam cię na Boga, wejdz tutaj i śmierć mi zadaj, ponieważ ja, słaba białogłowa, zabić się nie mam odwagi. Tego jednego domagam się od ciebie, tak wielka jest bowiem męczarnia, którą znoszę. Jeśli jednak nie chcesz i tej łaski mi wyświadczyć, to podaj mi szklankę wody, abym nią sobie usta zwilżyła. Gorączki, która mi wewnątrz pali, samymi łzami przecie nie ugaszę.

Uczony po głosie mógł poznać mękę Heleny. Gdy obaczył jeszcze część jej ciała, spalonego słonecznym żarem, gdy posłyszał jej pokorne prośby, poczuł krztę litości od nowa. Oparł się jednak raz jeszcze temu wzruszeniu i rzekł:

— Nie umrzesz z moich rąk, przewrotna i zła kobieto, umieraj natomiast z swych własnych, jeśli masz ochotę po temu, szklanki wody zasię<sup>109</sup> ku ugaszeniu gorączki tak się ode mnie spodziewaj, jak ja niegdyś, zmarznięty, spodziewałem się, że mnie w domu swoim ogrzejesz. Żałuję niezmiernie, że gdy moje odmrożenia przy pomocy ciepła śmierdzącego nawozu wyleczono, to ty od zadanych twej piękności szwanków będziesz się mogła uwolnić pachnącą wodą różaną. Mnie groziła utrata życia lub kalectwo, ty zasię po poparzeniu, na kształt węża, który starą skórę zrzucił, piękniejszą jeszcze będziesz.

— O ja nędzna! — zawołała na to białogłowa — oby Bóg wrogów moich tak pozyskaną pięknnością obdarzył.

<sup>108</sup> ósma godzina — licząc wg. daw. miary, od wschodu słońca, około pierwszej po południu. [przypis edytorski]

<sup>109</sup> zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

A ty, okrutniejszy od dzikiego zwierzęcia, powiedz, jak śmiesz mnie w ten sposób zadreżać? Gdybym wśród mąk najokrutniejszych wytepiła twoją rodzinę lub któregośkolwiek innego mężczyzny, zaliż sroższa kara spotkać by mnie mogła? Nie wiem, zaiste, jaką sroższą torturę można by wymyślić dla zdrajcy, który całe miasto na zgubę wydał. Mało tego, żeś mnie udręczył słonecznym żarem, wystawił na pożarcie przez muchy i osy, odmówiłeś mi jeszcze kropli wody, chocia morderców, wyrokiem sądu skazanych i na kaźń prowadzonych, często winem poją, gdy tylko tego zażądataj. Widzę teraz, że nic cię od okrutnego zamysłu twego odwieść nie zdoła, żeś głuchy i ślepy na cierpienia moje, dlatego też bez jęku będę czekała na śmierć, poruczając duszę moją Bogu. Jego wzywam, do Niego się odwołuję i przed Niego cię pozywam na sąd sprawiedliwy!

To rzekłszy, powlokła się z wielkim wysiłkiem na sam środek tarasu, gdzie słońce najmocniej dopiekało, aby się rychłej śmierci doczekać. Tonąc we łzach nieustannych, skarżąc się rzewnie, znosiła tysiąc śmierci miast<sup>110</sup> jednej i z bólu a pragnienia o mało rozumu nie postradała.

Tymczasem zbliżył się wieczór. Uczony pomyślał, że dość już tej kary będzie, dlatego też kazał słudze swemu wziąć suknie wdowy i płaszczem owinąć, po czym udał się do domu nieszczęśnicy. Na progu siedzącą zastał jej służkę, bezradną, w wielkiej rozpacz i trwodze pogrążoną.

— Gdzie się znajduje twoja pani? — zapytał.

— Panie — odrzekła służąca — nie wiem, co się z nią stało. Dzisiaj rano spodziewałam się, że znajdę ją w łóżku, do którego wczoraj przy mnie się położyła, aliści nie znalazłam jej tam ani gdzie indziej, mimo troskliwych poszukiwań, dlatego też widzicie mnie w ciężkiej obawie i trosce. Może wy, panie, możecie mi dać o niej wieść jakąś?

— Należało cię zaprowadzić na to miejsce, gdzie ona teraz się znajduje, i ukarać cię podobnie za przewinę twoją — odparł uczony. — I tak jednak, dalipan, nie ujdziesz moich rąk, ukarzę ciebie bowiem tak przykładnie, że nie przyjdzie ci już nigdy ochota na wydwarcie się<sup>111</sup> z ludzi, byś mnie nie wspomniła.

To rzekłszy, zwrócił się do sługi swego:

— Oddaj jej suknie i wskaż, gdzie ma szukać swojej pani.

Służka, poznawszy suknie, okrutnie się przeraziła, sądziła bowiem, że już swoją panią martwą znajdzie.

Pohamowawszy z trudem okrzyk grozy, zaraz po odejściu Rinieriego pobiegła za jego towarzyszem ku wieży.

Tymczasem zdarzyło się, że jednemu z wiejskich robotników wdowy zabłąkały się gdzieś dwie świni. Wybrał się na poszukiwanie ich, a zbliżywszy się do wieży, niebawem po odejściu uczonego, usłyszał nagle jęki nieszczęśliwej białogłowy. Zaciekawiony, wydrapał się, jak mógł najwyżej, i zapytał:

— Kto tam tak płacze?

Wdowa poznała swego robotnika po głosie. Zawoławszy nań po imieniu, rzekła:

— Idź po służącą moją i duchem ją tu przyslij.

— O dla Boga, madonno, co was tutaj przywiodło! — zawołał kmieć. — Służka wasza szukała was przez dzień cały. Komuż jednak mogło przyjść na myśl, że się tu znajdujecie.

Rzekłszy te słowa, podniósł drabinę, naprostował i umocnił szczeble. W tej chwili nadbiegła służka. Pocziwa dziewczyna wstąpiwszy na drabinę dała folgę łzom i załamując ręce zawołała:

— Pani moja, gdzie jesteście?

— Jestem tutaj, siostrze moja — odrzekła dama najgłośniej jak zdołała. — Nie czas teraz na łzy. Podaj mi co prędzej moje suknie.

Dziewczyna, uspokojona nieco jej głosem, z pomocą robotnika, który ukończył już niemal naprawę drabiny, wbiegła na dach. Ujrawszy jednak swoją panią, nie do boskiego stworzenia, ale do na pół zwęglonego pnia podobną, oszpeconą, pokłutą i nago na ziemi leżącą, rwać sobie włosy poczęła i wylewać łzy jak nad umarłą. Wdowa wezwała ją, aby się uspokoiła i pomogła jej przede wszystkim się ubrać. Dowiedziawszy się zaś od służki, że krom<sup>112</sup> niej i robotnika oraz tych, co suknie przynieśli, nikt o całej sprawie

<sup>110</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>wydwarcie się z kogoś (daw.) — kpić z kogoś. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

nie wie, pocieszyła się znacznie i zaklęła tylko świadków, aby wieczną i głęboką tajemnicę zachowali.

Po długich rozważaniach robotnik wziął na plecy damę, niemogącą iść o własnych siłach, i zniósł ją szczęśliwie z wieży. Natomiast nieszczęsna służka, która w tyle pozostała, schodząc widać z mniejszą ostrożnością z drabiny, pośliznęła się na jednym z wyższych szczebli, spadła na ziemię i złamała nogę.

Ból, jaki poczuła, był tak wielki, że jak lew zaryczała. Usłyszawszy ten krzyk, robotnik położył damę na trawie i pobiegł zobaczyć, co się stało. Ujrawszy, że służka ma nogę złamaną, wziął ją również na plecy i zaniósł do pani, obok której ją złożył. Dama na widok tego nowego nieszczęścia i na myśl, że ostatnia istota, która by jej w danej chwili pomóc mogła, leży obok niej bezsilna, strapiła się niezmiernie i wybuchnęła na nowo tak rzewnymi łzami, że robotnik nie tylko uspokoić jej nie mógł, ale i sam zapłakał.

Ponieważ jednak noc się zbliżała, kmięć na prośbę zrozpaczonej damy pobiegł do domu. Wziąwszy z sobą dwóch braci swoich i żonę i zabrawszy deskę przybył na miejsce wypadku. Dziewczynę ułożono na desce i zaniesiono do chaty wieśniaka. Robotnik pokrzepił damę wodą i łagodnymi słowami, wziął ją na plecy i zaniósł do izby sypialnej. Tam żona jego nakarmiła ją podplomykami i rozebrawszy, położyła do łóżka. W nocy postarał się wieśniak o odwiedzenie damy i służki do Florencji.

Wdowa, której nigdy na zręcznych wybiegach nie zbywało, wymyśliła o swojej przgodzie bajkę, nic wspólnego z istotą sprawy niemającą. Potrafiła wmówić w braci swoich, siostry i we wszystkich znajomych, że pospołu ze służką padła pastwą jakiejś sztuczki diabelskiej. Znaleźli się pod ręką doktorzy, którzy wdowę nie bez trudu i wysiłku z gorączki i innych przypadłości wyleczyli, a także nastawili nogę służki. Odcierpiały jednak obydwie za swoje, a wdowa niejedną skórę, przylegającą do prześcieradeł, postradała. Przypadek ten jednak wymazał z jej pamięci niewiernego kochanka i odjął wszelką ochotę również do drwin z ludzi, jak i do nowych afektów.

Uczony zasię<sup>113</sup>, dowiedziawszy się o wypadku służki, osądził, że dostatecznie jest pomszczony. Dlatego też pozwolił się wdowie wedle zręczności i woli wyklamywać.

Tak oto wyszła głupia białogłowa na niewczesnej chęci wyszydzenia drugich, mniemając, że ludzi uczonych tak łatwo nabrać jak innych. Była nieświadoma, że oni (jeśli już nie wszyscy, to większa ich część) dobrze wiedzą, gdzie raki zimują. Dlatego też, miłe damy, wystrzegajcie się drwin, a zwłaszcza drwin z ludzi uczonych”.

## OPOWIEŚĆ ÓSMA. ROGI ZA ROGI

*Dwaj Sieneńczycy żyją w wielkiej przyjaźni z sobą. Jeden z nich uwodzi żonę drugiego, ów, dowiedziawszy się o tym, wchodzi w porozumienie z żoną uwodziciela i zamyka go do skrzyni, po czym na wieku z jego żoną miłosnym igraszkom się oddaje.*

Ciężko i boleśnie było damom słuchać o okrutnym ukaraniu Heleny, ponieważ jednak przyznać musiały, że kara ta w części zasłużoną była, pomiarkowały tedy<sup>114</sup> współczucie swoje. W każdym razie uznały uczonego za okrutnego i nieubłaganego człeka. Gdy Pampinea opowieść swoją skończyła, królowa wezwała Fiammettę, która w te słowa ochoczo mówić zaczęła:

— Uroczę przyjaciółki! Ponieważ jak mi się zdawa<sup>115</sup>, zbyt żywo odczuliście surowość obrażonego filozofa, sądzę tedy, iż nie od rzeczy będzie czymś weselszym smutne myśli wasze zająć. Dlatego też mam zamiar opowiedzieć wam krótką opowieść o pewnym młodzieńcu, który ze spokojniejszym umysłem obrazę przyjął i w bardziej umiarkowany sposób pomścił się za nią. Z historii tej poznacie, że każdemu wystarczyć powinno, gdy odda tą samą miarką, którą mu odmierzono, i że w pomście przesadzać nie należy, skoro idzie tylko o odwet za doznaną zniewagę.

„Wiedźcie tedy, że wedle tego, co słyszałam, żyli niegdyś w Sienie dwaj młodzieńcy, bogaci i z dobrych rodów mieszczzańskich idący — jeden nazwiskiem Spinelloccio Tave-

<sup>113</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>zdawa się — dziś popr. forma: zdaje się. [przypis edytorski]

na, drugi Zeppa di Mino. Byli oni właścicielami sąsiednich domów na ulicy Camollia. Przeważali ciągle tylko z sobą, tak iż wedle wszelkich pozorów wydawać się mogło, że miłują się jak bracia, a nawet więcej jeszcze. Każdy z nich miał wielce urodziwą żonę. Owóż zdarzyło się, że Spinelloccio, przebywający często w domu Zeppy, zaprzyjaźnił się tak z jego żoną, że sypiać u niej począł. Działo się to przez długi czas, nie zwracając niczyjej uwagi. Pewnego razu jednak tak się zdarzyło, że Zeppa był w domu, o czym żona jego nie wiedziała. Zjawił się właśnie Spinelloccio, wywołując go. Żona odpowiedziała, że męża nie ma w domu.

Wówczas Spinelloccio wbiegł żywo na schody, wpadł do sieni, a widząc, że urodziwa białogłowa sama się w izbie znajduje, chwycił ją w objęcia i począł ją czule całować, nie bez hojnego odwzajemnienia się z jej strony. Zeppa ujrawszy to, nie mruknął ani słowa, ale ukrył się, pragnął bowiem dowiedzieć się, jak się ta igraszka skończy. Po chwili ujrzał żonę swoją w objęciach przyjaciela; zmierzali do komnaty, a potem usłyszał szczeł klucza. Wzburzyło go to do głębi. Zważywszy jednak, że wrzaskiem despektu swego nie zmniejszy, tylko go głośniejszym uczyni, pohamował się i począł rozmyślać, jakby się pomścić bez zwrócenia uwagi obcych ludzi, a ku pełnemu ukontentowaniu swojemu. Zeppa, wszystko dobrze rozważywszy, postanowił nie wychodzić z kryjówki swojej, póki przyjaciel jego w domu gościć będzie. Po jego odejściu wszedł do sypialnej komnaty swej żony i zastał ją poprawiającą sobie włosy, które jej Spinelloccio dla figłów rozpuścił.

— Żono — rzekł stanąwszy na progu — co czynisz?

— Czy nie widzisz, co robię? — odrzekła.

— Oczywiście, że widzę — odparł Zeppa — tak jak i wiele innych rzeczy widziałem, których nie pragnąłem wcale oglądać.

Tu zaczął z nią mówić o tym, co zaszło, ona zaś, po długim kołowaniu, w największej trwodze przyznała się do wszystkiego (czemu zresztą żadną miarą już zaprzeczyć nie mogła) i łkając, o przebaczenie błagać go poczęła.

Zeppa wysłuchał jej spokojnie, a potem rzekł:

— Postąpiłaś niegodziwie, występna białogłowo. Jeśli jednak chcesz, abym na ten raz ci przebaczył, musisz wypełnić jak najściślej rozkazy moje, o których w tej chwili usłyszysz. Dasz tedy znać Spinellocciovi, aby jutro o trzeciej godzinie pod jakimś pozorem uwolnił się od mego towarzystwa i przybył do ciebie. Gdy się już tutaj zjawi, wejdę i ja do domu; wówczas ty, słysząc moje kroki, każesz mu się ukryć w tej wielkiej skrzyni i zamkniesz go w niej. Gdy to uczynisz, powiem ci, jak masz dalej sobie poczynać. Przy tym wszystkim nie obawiaj się o nic, przyrzekam ci bowiem, że najmniejszej krzywdy mu nie wyrządzę.

Żona, szczęśliwa, że mąż poprzestał na tym, obiecała mu posłuszeństwo i dotrzymała słowa. Nazajutrz o trzeciej godzinie Spinelloccio, znajdujący się właśnie z Zeppą, a pamiętny, że dama czeka na niego, rzekł w te słowa:

— Darujcie, że was opuszczę; zaproszony dziś jestem na obiad do jednego z przyjaciół, który na mnie będzie oczekiwał.

— Do obiadowej pory jeszcze daleko — odparł Zeppa.

— Nic to nie szkodzi — rzekł Spinelloccio. — Muszę z nim pomówić o różnych sprawach, dlatego też wcześniej przybyć wolę.

To rzekłszy, pożegnał się, wyszedł i okrężną nieco drogą przybył do domu Zeppy, przez żonę jego oczekiwany. Zaledwie oboje w sypialnej komnacie się znaleźli, dały się słyszeć kroki Zeppy. Na ten odgłos, piękna dama, udając wielce zatrzwożoną, wezwała Spinelloccia, aby ukrył się w skrzyni, którą mąż jej wskazał, po czym zamknęła go w niej starannie i wyszła. Zeppo spotkał ją na progu i spytał się jej donośnym głosem:

— Żono, wszak to już czas na obiad?

— Tak jest, w samej rzeczy — odrzekła.

— Spinelloccio — ciągnął Zeppa dalej — zaproszony został dzisiaj do jednego z przyjaciół, żona jego tedy musiałaby sama obiadować. Dobrze będzie zatem, jeśli z okna zwołasz ją i poprosisz, aby do nas na obiad przyszła.

Żona, drżąca ze strachu o swój los i dlatego też ślepo posłuszna, uczyniła, co jej rozkazano. Małżonka Spinelloccia na gorące jej prośby i zapewnienia, że Spinelloccio gdzie indziej dziś obiadować będzie, dała się do odwiedzin nakłonić. Zeppa przyjął ją wielce dwornie, schwyił ją za rękę i dawszy skinieniem znać żonie swojej, aby się do kuchni

oddaliła, powiódł damę do sypialnej komnaty. Wszedłszy tam, drzwi od wewnątrz zaparł. Na ten widok żona Spinelloccia zawołała:

— Biada mi! Co to ma znaczyć, Zeppo? Po to tedy tu mnie zwabiłeś? Taką ma być owa miłość i wierna przyjaźń, którą mężowi memu okazujesz?

Zeppa, trzymając ją silnie w ramionach, zbliżył się do skrzyni, w której siedział Spinelloccio, i rzekł w te słowa:

— Zanim dalsze wyrzuty czynić mi poczniesz, wysłuchaj, co ci powiem. Miłowałem Spinelloccia i jeszcze jak brata go miłuję, wczoraj jednak, chociaż o tym nie wie, odkryłem, że ufność, jaką go obdarzałem, tylko taki skutek miała, że począł mnie przy żonie mojej zastępować i obcuje z nią tak jak z tobą.

Właśnie dla tej przyczyny, że go miłuję, nie chcę bynajmniej mścić się na nim, jeno<sup>116</sup> mu równą miarą odpłacić. Posiadł moją żonę, tedy i ja postanowiłem ciebie posiadać tak samo. Jeśli się nie zgodzisz należeć do mnie, będę sobie musiał inaczej poradzić. Ponieważ zaś hańby tej płazem puścić nie mogę, wypłatom mu figła, który ani tobie, ani jemu nie będzie miły.

Żona Spinelloccia, usłyszawszy tę wiadomość, uwierzyła w nią, dając posłuch przysięgom i zakłębom Zeppy. Tak tedy rzekła do niego:

— Miły Zeppo, jeśli ci ta zemsta na mnie wywarta wystarczyć może, to już niechaj i tak będzie. Przrzeknij mi jeno, że postarasz się, aby to, co czynić będziemy, nie stało się powodem waśni między mną a żoną twoją, z którą, mimo że przeciwko mnie zawiniła, chciałabym w przyjaźni pozostać.

— Oczywiście, że tak uczynię — odrzekł Zeppa — a krom<sup>117</sup> tego obdarzę cię tak cennym i pięknym klejnotem, jakiego równego nie posiadam.

Rzekłszy te słowa, uściśnął ją, ucałował, a potem ułożył ją na skrzyni, w której mąż zamknięty siedział, i cieszył się nią do woli.

Spinelloccio, który z ukrycia swego całą tę rozmowę słyszał, a potem trewizański taniec nad głową swoją poczuł, z początku o mało się ze złości nie rozpukł<sup>118</sup>. Gdyby nie obawa przed Zeppą, byłby, ani chybi, mimo zamknięcia, żonie swojej obelgę jakąś rzucił lub groźbami ją zasypał. Zważywszy jednak, że on sam dał wszystkiemu początek, a Zeppa miał prawo postąpić z nim tak, jak postąpił, i że po ludzku jak dobry towarzysz z nim się obszedł, postanowił w duszy zostać jeszcze gorętszym jego przyjacielem, niż był nim dotąd.

Zeppa tymczasem, używszy, ile dusza zapragnęła, zszedł ze skrzyni. Gdy żona Spinelloccia upomniała się o obiecany jej klejnot, otworzył drzwi od sypialnej komnaty i zawołał na żonę swoją. Białogłowa, stanąwszy na progu, to tylko rzekła do swojej przyjaciółki ze śmiechem:

— Madonno, oddałaś mi pięknym za nadobne.

— Otwórz skrzynię — rzekł mąż.

Gdy wieko podniesiono, Spinelloccio ukazał się oczom swojej żony. Długo by się nad tym szerzyć<sup>119</sup> należało, kto z nich większy wstyd odczuł: Spinelloccio, który wiedział, że Zeppie nic tajne nie jest, czyli też żona, która w tej chwili dowiedziała się, że mąż słyszał i czuł wszystko, co nad jego głową wyrabiano. Wreszcie Zeppa rzekł:

— Oto klejnot, który ci daję!

Spinelloccio, wyszedłszy ze skrzyni, rzekł po prostu te słowa:

— Jesteśmy skwitowani należycie, dlatego też dobrze będzie, jeśli na przyszłość przyjaciółmi pozostaniemy, jak przed chwilą oświadczyłeś mej żonie. Wszystko mieliśmy dotąd wspólne krom żon, należy przeto, abyśmy i je wspólnym dobrem uczynili.

Zeppa bardzo się uradował, słowa te usłyszawszy. Po chwili wszyscy czworo w przykładnej zgodzie do stołu zasiedli. Od tej pory każda z tych białogłów miała dwóch mężów, a każdy z obu mężów dwie żony, jednakże z tego powodu nigdy między nimi do waśni i kłótni nie dochodziło”.

<sup>116</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>rozpuknąć się (daw.) — pęknać; por. wyrażenie: *śmiać się do rozpuku*. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>szerzyć się — tu: rozwodzić się; szeroko omawiać. [przypis edytorski]

## OPOWIEŚĆ DZIEWIĄTA. PRZYGODA MISTRZA SIMONA

*Mistrz Simone, lekarz, błaga Bruna i Buffalmarca, aby wprowadzili go do pewnego towarzystwa, które się korsarstwem para. Nocą schodzą się na oznaczonym miejscu. Buffalmarco wrzuca doktora do smrodliwej jamy i tam go pozostawia.*

Po dość długiej rozmowie o wspólnocie żon (pochop do tej gawędy dał damom postępek dwu Sieneńczyków) królowa, nie chcąc czynić ujmy przywilejowi Dionea, jako ostatnia z opowiadających w te słowa zaczęła:

— Jako żywo, miłe przyjaciółki, Spinelloccio zasłużył sobie na figiel, jaki mu wypłatał Zeppa. Dlatego też wbrew temu, czego Pampinea przed chwilą dowieść się starała, nie sądzę, by godzien był ostrej przygany krotochwilnik<sup>120</sup> wyrządzający psotę temu, co szuka jej albo na nią zasłużył. Powtarzam, że zasłużył na nią Spinelloccio. Sama zaś opowiedzieć wam chcę o takim, który sam jej szukał, i mniemam, że nie ganić, ale chwalić należy tych, co z niego zakpili. Był to lekarz, który powrócił z wszechnicy bolońskiej do Florencji, głupi jak baran, chociaż daleko szlachetniejszym od baraniego futrem był od stóp do głowy okryty.

„Co dzień widzimy, że Florentczycy powracają do naszego miasta z Bolonii jako sędziowie, doktorzy, notariusze, w długie, faldziste szaty szkarłatne, futrem bramowane przyodziani. Wartość ich umysłów mało niestety temu przepychowi stroju odpowiada. Jednym z takich pawiów był niejaki Simone da Villa, bardziej bogaty w dobra doczesne niż w wiedzę. Powrócił on do nas z Bolonii jako doktor medycyny (wedle własnych zapewnień), ustrojony w szkarłat z ogromną krezą, i zamieszkał przy ulicy, którą dzisiaj Via del Cocomero zowią.

Ów mistrz Simone pośród wielu osobliwych obyczajów swoich miał także i ten, że idąc z kimkolwiek bądź przez ulicę natrętnie wypytywał się o nazwiska spotykanych po drodze ludzi, o ich stan i stosunki, tak jakby te wiadomości o ludziach mogły mu do przyrządzania leków dopomóc. Zbierał je też bardzo uważnie w pamięci. Szczególnym przedmiotem uwagi jego stali się dwaj malarze, sąsiedzi jego, Bruno i Buffalmarco (o których już dziś dwukrotnie wspomniano), żyjący w wielkiej przyjaźni z sobą. Naszemu doktorowi zdało się, że ci ludzie mniej kłopotów mają i weselej żyją niż ktokolwiek inny w mieście, i dlatego też rozpytywać się o nich szczegółowie<sup>121</sup> począł. Usłyszawszy zasię<sup>122</sup>, że są to ubodzy malarze, wbił sobie do głowy, że w tym wszystkim jakaś tajemnica tkwić musi i że ci dwaj weseli ludzie mają widocznie jakieś ukryte źródło dochodów — tym bardziej że słyszał często o ich przebiegłości i sprycie. Myśl ta wzbudziła w nim niezmierną chęć wejścia w bliższe stosunki bądź to z obydwojma na raz, bądź też z jednym z nich. Po pewnym czasie w samej rzeczy udało mu się zapoznać i zbliżyć się z Brunem. Bruno, pomiarkowawszy po kilku spotkaniach, z jakim to dudkiem ma do czynienia, jął<sup>123</sup> z niego drwić niemiłosiernie i figle niebawem mu płatać, doktor zaś, nie spostrzegając tego, w towarzystwie jego wielkie upodobanie znajdował. Zaprosił go do siebie kilkakrotnie na obiad i gdy osądzał wreszcie, że otwarcie już z nim pogadać może, wyznał mu, że podziwem go napęlnia wesoły, mimo ubóstwa, sposób ich życia. Po czym spytał się, czemu by to przypisać należało?

Bruno, wysłuchawszy tych słów, równie niedorzecznych jak inne, roześmiał się głośno i postanowił odpowiedzieć tak, jak na to barani rozum doktora zasługiwał.

— Mistrzu — rzekł — byle komu nie powiedziałbym o tym, jak sobie poczynamy, wam jednak, o którego przyjaźni i dyskrecji upewniony jestem, nie będę wahał się wypowiedzieć. W samej rzeczy ja i towarzysz mój wesołe życie prowadzimy, weselsze nawet, niżli się wam wydawać może. Zawdzięczamy to oczywiście nie profitom z kunsztu naszego albo z majątności jakichkolwiek, to by nam bowiem nawet na czystą wodę nie wystarczyło. Abyście nie sądzili jednak, że kradniemy, powiem wam, że chodzimy na korsarskie wyprawy i tam, bez niczyjej szkody, zdobywamy wszystko, cokolwiek do za-

<sup>120</sup>krotochwilnik — zartowniś, wesołek. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]



spokojenia potrzeb naszych lub dla przyjemności jest nam potrzebne. Stąd też beztrudnie nasz żywot, który wpadł wam w oko.

Doktor usłyszawszy te słowa zadziwił się i uwierzył, mimo że nie rozumiał, co to znaczyć może. Zapragnąwszy gorąco dowiedzieć się, w jaki to sposób korsarstwo się uprawia, począł usilnie Bruna o wyjaśnienie prosić, zaręczając mu, że najgłębszą tajemnicę zachowa.

— Dla Boga! — zawołał Bruno — mistrzu, czegoż to wymagacie ode mnie? Zbyt wielka jest ta tajemnica, którą radzi byście poznać, ja zaś za odkrycie jej nie tylko mógłbym być zniszczony i życia pozbawiony, aliści wpaść nawet w paszczę Lucypera z San Gallo. Tak wielką jednak jest miłość dla waszej osoby, która mi arbuza z Legnaia przypomina, i tak niezmierną ufność w was pokładam, że nie czuję się na siłach odmówić żądaniu waszemu. Dlatego też gotów jestem opowiedzieć wam wszystko, pod warunkiem że przysięgniecie na krzyż z Montesone, iż nigdy tego nikomu nie zdradzicie.

Mistrz nie szczędził zaklęć i przysiąg.

— Wiedźcie tedy<sup>124</sup>, o mój słodziutki mistrzu — rzekł Bruno — iż przed niedawnym czasem przebywał w naszym mieście wielki czarodziej i doktor nekromancji, nazwiskiem Michał Scotto, ze Szkocji bowiem się wywodził. Odbierał on dowody głębokiej czci od najznacześniejszych w mieście ludzi, z których niewielu jeszcze żyje. Gdy się już do wyjazdu gotował, przychylił się do gorącej prośby swoich przyjaciół i pozostawił tutaj dwóch najznamięniejszych uczniów swoich z poleceniem, aby czynili zadość najmniejszym zachceniom tych szlacheńskich Florentczyków, od których tyle czci i miłości był doznał. Uczniowie, posłuszni mistrzowi, pozostali w mieście, oddając owym panom rozliczne usługi w wielu sprawach miłosnych i innych. Wreszcie, upodobawszy sobie Florencję i obyczaje mieszkańców, postanowili osiąść u nas na stałe. Po pewnym czasie weszli w związku ścisłej przyjaźni z niektórymi obywatelami tutejszymi, nie bacząc na to, czy ten, z kim się zaprzyjaźnią, jest szlachcicem czy nie-szlachcicem, ubogim czy bogatym człkiem, byleby tylko do gustu im przypadła. Pozyskawszy przyjaciół, utworzyli grono, z dwudziestu pięciu może ludzi złożone, które najmniej dwa razy na miesiąc w pewnym, wskazanym przez nich, miejscu się zbiera. Tam każdy wyraża im swoje pragnienia, które tej samej nocy spełniane bywają. Z tymi dwoma czarnoksiężnikami wiąże mnie i Buffalmacca osobliwie poufała przyjaźń. Przyjęto nas do owego towarzystwa na równych prawach z innymi. Ach, gdybyście mogli widzieć przepyszne obicia komnat, po królewsku zastawione stoły, dookoła których krążą roje urodziwej służby płci obojej, owe nieporównane czary, dzbany z winem i butle oraz inne naczynia ze złota i srebra, z których jemy i pijemy! Cóż dopiero mam powiedzieć o dobroci i obfitości potraw? Kto czego tylko zapragnie, zaraz to ma przed sobą. Nie jestem w stanie wyrazić wam, jakie dziwne dźwięki z rozlicznych instrumentów tam się rozlegają, jakie rozbrzmiewają tam pieśni melodią urzekającą ani jak wielka ilość świec woskowych przy tych biesiadach płonie, ani ile cukrów i win kosztownych na nasze skinienie czeka. Nie sądzicie także, mój milusi mistrzu, że siadamy do stołów w szatach, w których nas zwykle widujecie. Po stokroć nie! Nie masz między nami takiego, który by cesarzowi podobien nie był, w tak pysznych bowiem strojach i ozdobach paradujemy. Nad wszystkie jednak rozkosze wyższa jest rozkosz, którą nas piękne kobiety obdarzają. Sprowadza się je z najdalszych krańców świata w mgnieniu oka, wedle woli każdego z nas i wedle wyboru. Możecie tam ujrzeć królowę Barbaników, władczynię Basków, żonę sultana, cesarżową Usbeku, panią Klapigębę z Norwegii, Semisantę z Berlinzony i Scalpedrę z Narsji. Ale na cóż się zda tutaj je wylizywać? Znajdziecie tam wszystkie królowe ziemi całej, wraz z Szinszimurą, żoną księdza Jana. Aliści słuchajcie dalej! Gdy sobie już nieco podpijemy i jadłem się pokrzepimy, zatańczywszy wkoło raz lub dwa razy, udaje się każdy z tą, która się na jego żądanie zjawia, do osobnej komnaty. Wiedzieć wam należy, że każda z tych komnat to raj prawdziwy, tchnący aromatem, nie mniej wonnym od wnętrza waszych aptek, gdy w nich kminek tłuką. Stoją tam łoża okazalsze od łoża weneckiego doży. Na nich każda para się układa. Zostawiam wam do domysłu, jak każda z tych prządek potem kołowrotek trzyma, jak nitki puszcza, sama w kłębek się zwijając. Najszcześliwszymi z tych szczęśliwców, a także najlepiej uposażonymi jesteśmy, wedle mego zdania, ja i Buffalmacco: on bowiem naj-

<sup>124</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

częściej sprowadza sobie królowę francuską, ja zaś<sup>125</sup> angielską. Damy te, jak każdemu wiadomo, są najpiękniejszymi na całym świecie białogłowami. Tak umieliśmy im przypaść do serca, że o nas tylko myślą i z nami jeno przestają. Łatwo wam tedy będzie pojąć teraz, że musimy być najweselszymi i najszczęśliwymi na świecie ludźmi. Posiadamy miłość dwóch tak pięknych królowych, nie mówiąc już o tym, że dosyć nam zażądać od nich dwóch albo trzech tysięcy dukatów, aby je mieć natychmiast. To wszystko pospolicie korsarstwem nazywamy, postępujemy bowiem jak korsarze, którzy każdemu dobytek wydzierają. Różnica tylko na tym się zasadza, że oni nie oddają tego, co raz wzięli, my zaś zwracamy zdobycz po jej użyciu. Wiecie teraz wszystko, rozumiecie, co nazywamy korsarstwem, i widzicie, w jakiej należy to trzymać tajemnicy, przeto więcej nic wam nie powiem, proszę jeno, nie wspominajcie już nigdy o tym.

Doktor, którego cała wiedza polegała na umiejętności leczenia małych dzieci z parchów, uwierzył w słowa Bruna, jak gdyby one ewangelią były, i zapalił się niepomiarkowanym pragnieniem wejścia do tego towarzystwa. Odrzekł tedy Brunowi, że zaiste bynajmniej go teraz nie dziwi ich wesoły i pogodny wyraz oblicza, i ledwie pohamować się zdołał od prośby o przyjęcie go natychmiast do tego towarzystwa. Namysłiwszy się jednak, odłożył tę prośbę do chwili, aż Bruna lepiej dla siebie pozyskać zdoła. Tymczasem nie rozdzielał się z nim prawie, zapraszał go do siebie z rana, w południe i wieczorem i niezmierną życzliwość mu okazywał.

Wkrótce miłość ta tak się zwiększyła, iż zdało się, że doktor bez Bruna żyć i istnieć nie może. Bruno, któremu to wszystko wielce po myśli było, nie chcąc okazać się niewdzięcznym za tyle przywiązania i czci, wymalował doktorowi w komnacie jadalnej *Post Wielki* i *Agnus Dei*<sup>126</sup>, nad bramą zaś wielki nocnik, aby po tym znaku klienci domu doktora od innych odróżniali. Krom<sup>127</sup> tego na werandzie wymalował mu walkę myszy z kotami, którą doktor za arcydzieło uważał. Nie zaniedbywał przy tym od czasu do czasu, gdy nie wieczerał z doktorem, wspomnieć coś o swoim towarzystwie. Pewnego razu rzekł:

— Dzisiejszą noc spędziłem w towarzystwie naszym. Ponieważ królowa angielska już mi się nieco sprzykrzyła, kazałem sobie tedy na ten raz sprowadzić panią Gumedrę, małżonkę wielkiego chana Tarisu.

— Co to znaczy Gumedra? — spytał doktor. — Dalipan, nie rozumiem tych wszystkich imion.

— O mój najdroższy mistrzu! — odparł Bruno. — Wcale się temu nie dziwię, slyszalem bowiem, że Ipokrad i Aciemiega nic o niej nie wspominają.

— Chciałeś zapewne powiedzieć: Hipokrat i Avicenna — poprawił doktor.

— Dalipan, powiedziałem, jak wiedziałem — odparł Bruno. — Równie mało rozumiem się na tych waszych nazwiskach, jak wy na moich. Co się zaś tyczy imienia Gumedra, to znaczy ono w mowie wielkiego chana to samo, co u nas cesarzowa. Ach, cóż to za białogłowa! Powiadam wam, że zapomnielibyście przy niej o wszystkich medykamentach, receptach i plastrach waszych!

Podobnymi słowami, nieraz powtarzanymi, tak Bruno doktora podniecił, że ten, pewnego wieczora nieco dłużej w jego towarzystwie pozostawszy, sądząc, że dostatecznie zyskał go sobie swą uprzejmością, postanowił wreszcie wyznać mu najgorętsze pragnienie swoje. Bruno malował właśnie walkę myszy z kotami. Doktor, który światło mu trzymał, zaczął w te słowa:

— Brunonie, Bogu jednemu wiadomo, że nie masz człeka na świecie, dla którego gotów bym tyle uczynić, ile dla ciebie. Gdybyś mi nawet powiedział teraz: »Idź do Peretoli«, ani chybi, poszedłbym tam. Nie dziwuj się tedy<sup>128</sup>, iż z całą ufnością o coś cię poproszę. Przed niedawnym czasem opowiedziałeś mi cuda o rozkosznym sposobie życia waszego wesołego towarzystwa. Wzbudziło to we mnie taką żądzę należenia do niego, o jakiej dotąd pojęcia nie miałem. Gdy mnie przyjmiecie, przekonasz się, że nie bez ważkiej racji z prośbą tą do ciebie się zwracam. Pozwolę ci nazwać mnie kpem, jeśli natychmiast po przyjęciu nie sprowadzę sobie najpiękniejszej dziewczyny, jakiej zapewne nigdy nie wi-

<sup>125</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>*Agnus Dei* (łac.) — Baranek Boży; typ przedstawienia postaci Jezusa Chrystusa w malarstwie. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

działeś. Poznałem ją nie dalej jak w zeszłym roku w Śmierdzącej Wólce i oddałem jej całe serce moje. Na ciało Chrystusowe! Ofiarowałem jej nawet dziesięć bolońskich groszy, aby mi wstrętów nie czyniła, aliści to żadnego skutku nie odniosło. Powiedz mi tedy, błagam cię gorąco, co mam uczynić, aby wejść do waszego grona, i spraw, abym się doń dostał. Wierzaj mi, że pozyskacie we mnie dzielnego, wiernego i godnego towarzysza. Zresztą dość spojrzeć na mnie. Jestem wszak człekiem urodziwym, a nie żadnym ułomkiem. Oblicze mam świeże jak róża, a przy tym jestem doktorem medycyny, których jak mi się zdaje, niewielu między sobą macie. Znam wiele dykteryjek i pięknych piosenek. Jedną nawet zaraz ci zanucę.

Tu począł ryczeć na całe gardło.

Bruna taki śmiech porwał, że hamując go, o mało się nie rozpukł. Przewyciężył się jednak, a gdy doktor skończył piosenkę i spytał:

— No i cóż, jak ci się zdaje?

— Wierę<sup>129</sup> — odrzekł Bruno — trzeba by było być głuchym jak pień, aby nie ocenić, jak cudownie śpiewacie i wyciągacie.

— Nieprawdaż? — zawołał doktor — pewien jestem, że nie uwierzyłbyś, gdybyś sam nie był słyszał!

— Najprawdziwsza prawda — odparł Bruno.

— Ale to nic jeszcze — rzekł doktor — bowiem i piękniejszych rzeczy jestem świadom. Dajmy temu jednak pokój. Musisz wiedzieć, że rodzic mój był szlachcicem, chociaż na wsi mieszkał, po kądzieli zaś pochodzę z rodu panów z Vallecchio. Posiadam także, jak się sam o tym przekonać mogłeś, piękniejsze księgi i bogatsze suknie od innych doktorów we Florencji. Klnę się na Boga, że mam dobytek, który przed kilku laty w sumie sto lirów dobrą monetą mnie kosztował. Zaklinam cię tedy raz jeszcze, wprowadź mnie do towarzystwa waszego! Jeśli mi tę przysługę wyświadczysz, nie wezmę od ciebie nigdy trojaka za leczenie, będziesz mógł przeto chorować, ile tylko zechcesz!

Bruno, usłyszawszy te słowa, ugruntuował się w mniemaniu swoim, że doktor jest głupi jak baran. Odrzekł mu przeto:

— Mistrzu! Poświęćcie mi z tej strony i miejcie trochę cierpliwości, póki tym myszom ogonów nie przyprawię. Za chwilę wam odpowiem.

Ogony wkrótce były gotowe. Wówczas Bruno, udając zakłopotanie, rzekł:

— Najdroższy mistrzu! Zaiste, wielkie to są rzeczy, które gotowi jesteście uczynić dla mnie. To jednak, czego żądacie, a co dla waszego wielkiego umysłu drobiazgiem się być wydawa, jest dla mnie sprawą niezmiernej wagi. Nie znam na całym świecie człeka, dla którego rzecz tę z równą chęcią jak dla was byłbym uczynił. Raz dlatego, że miłuję was, jak na to zasługujecie, a po wtóre, dla tej przyczyny, że osobliwie cenię mądrość słów waszych, które byłyby zdolne trafić do dewotek, a cóż dopiero mnie przekonać? Im dłużej z wami przestaję, tym mędrszymi mi się być wydajecie. Muszę wam powiedzieć także, że gdybym nie miał innej przyczyny do pokochania was, to starałbym się dogodzić wam choćby dlatego, żeście sobie tak piękny przedmiot miłości wybrali. Winiem wam jednak wyznać, że spełnienie waszego pragnienia jest rzeczą trudniejszą, niżli sądzicie. Dla tej przyczyny nie będę mógł uczynić dla was tyle, ile bym pragnął. Jeśli mi jednak na swoją niezachwianą uczciwość przysięgniecie, że tajemnicę dochowacie, wskażę wam drogę, którą idąc, cel swój osiągnąć będziecie mogli. Pewien jestem, że to się wam, ani chybi, uda, skoro posiadacie tak piękne książki i tyle innych cennych rzeczy.

— Bądź spokojny — odparł doktor. — Widocznie nie znasz mnie jeszcze dobrze, inaczej bowiem wiedziałbyś, że każdą tajemnicę zdzierżyć umiem. Zaliż<sup>130</sup> mało takich spraw i zamiarów miał pan Gasparruolo da Saliceto wówczas, gdy był sędzią podesty<sup>131</sup> w Forlimpopoli? Zwierzał mi się on ze wszystkich zamysłów swoich; mnie pierwszemu oznajmił także o zamierzonym małżeństwie swoim z Bergaminą. Sądzę, że na tym dowodzie poprzestaniesz!

— Na mą duszę! — zawołał Bruno — jeśli on wam tak ufał, to niewątpliwie i ja mogę. Droga tedy, o której wspominałem, taka jest:

<sup>129</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>zaliż (daw.) — czyż. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>podesta — w średniowiecznych włoskich miastach najwyższy urzędnik o uprawnieniach sędowniczych i wojskowych. [przypis edytorski]

Towarzystwo nasze ma zawsze kapitana i dwóch radców, którzy co sześć miesięcy się zmieniają. Ani chybi w najbliższej przyszłości Buffalmacco zostanie kapitanem, a ja radcą, tak już bowiem od dawna postanowiono. Kapitan taki ma wielką władzę, mogąc przyjmować do towarzystwa, kogo tylko zechce. Otóż, według mego zdania, powinniście pozyskać dla siebie Buffalmacca, uprzejmie i dwornie z nim postępując. Jest to człek, który, poznawszy skarby mądrości, w was się kryjące, pokocha was całą duszą. Zjednawszy go urokiem rozumu waszego i hojności, będziecie mogli prosić go, o co zechcecie, a on nie potrafi wam odmówić. Wspominałem mu już nawet o was i wiem, że jest dla was przychylnie usposobiony. Weźcie się tedy rączo za niego, a resztę ja już sam uładzę.

— Rada twoja — odrzekł na to doktor — wielce mi się podoba. Zapoznam się z Buffalmacciem. Jeśli jest człkiem lubiącym z mądrymi ludźmi przestawać, to zapuściwszy się ze mną choćby raz w gawędę, sam mnie później poszukiwać zacznie. Co się przyrodzonego dowcipu tyczy, to zaiste mam go tyle, że całe miasto mógłbym nim obdzielić i jeszcze by mi go dosyć pozostało.

Bruno, tak rzecz postawiwszy, zdał z tej rozmowy sprawę Buffalmaccowi. Ów nie mógł doczekać się chwili, w której nie w ciemnię bity doktor z nim się zapozna, rad by był bowiem jak najprędzej obdarzyć go tym, czego on tak gorąco pragnął. Doktor nie dał mu długo czekać. Płonąc niezmierną żądzą udania się na korsarską wyprawę, nie spoczął, póki nie zaprzyjaźnił się z Buffalmacciem, co mu bez trudu się udało. Poznawszy go, jął<sup>132</sup> wydawać na jego cześć wspaniałe obiady i uczyty, na które i Bruna zapraszał. Dwaj filuci durzyli go niesłychanymi bredniami i nie żalowali sobie wybornych win, tłustych kapłonów i innych smakowitych rzeczy. Gościli u niego ciągle, przebywając w jego domu nieraz i bez zaprosin, i zawsze go zapewniali, że z nikim innym na świecie tak by im przyjemnie nie było.

Wreszcie doktor, upatrzwszy stosowną zdaniem jego porę, wyznał z kolei pragnienie swoje Buffalmaccowi. Ów udał z początku wielkie pomieszanie, a potem wpadł z wściekłością na Bruna, wołając:

— Na wielkiego Boga z Pasignano! Mam niepomierną chęć tak cię w łeb trzasnąć, abys sto tysięcy świec zobaczył, ty zdrajco obrzydły! Nikt inny krom<sup>133</sup> ciebie nie mógł opowiedzieć o tych wszystkich rzeczach doktorowi.

Doktor, słysząc to, począł żywo Bruna usprawiedliwiać, klnąc<sup>134</sup> się i zapewniać, że wie o tym wszystkim zgola z innego źródła, i wreszcie udobruchał rozgniewanego malarza.

Ułagodzony Buffalmacco zwrócił się do doktora i zawołał:

— Drogi mistrzu, widać od razu, że nie na próżno do Bolonii jeździliście, skoro przywieźliście stamtąd zasznurowaną gębę. Od razu poznać można, gdzieście się uczyli. Przy tym, jeśli się nie mylę, w czepku urodzić się musieliście. Bruno mi rzekł, że medycynę studiowaliście, aliści ja mniemam, że była to raczej umiejętność zyskiwania sobie ludzi. Wierę<sup>135</sup>, przy pomocy rozumu waszego i rzadkiego dowcipu<sup>136</sup> zdolni jesteście wymóc, co zechcecie.

Doktor zerwał się na te słowa i przerywając mówcy, rzekł do Bruna:

— Widzisz, co to znaczy, gdy się na roztropnego człeka natrafi. Któż by równie dobrze jak ten dzielny mąż całą odrębność mego umysłu ocenić potrafił? Nawet ty nie dopatrzyłeś się tak prędko moich walorów. Powtórz mu teraz, com rzekł, gdyś mi powiedział, że mu do serca przypadnę?

— Prawda, szczerą prawdą — odrzekł Bruno.

— Jeszcze byś niejedno mógł przydać — ciągnął dalej doktor, zwracając się do Buffalmacca — gdybyś mnie był widział w Bolonii. Tam zarówno doktorzy, jak i scholarzy zachwycali się mną gorąco. Nie było profesora ni studenta, który by mnie nad wszystko w świecie nie miłował i dla siebie pozyskać nie pragnął, tak ich bowiem umiałem dowcipem i wymową swą olśnić. Więcej powiem! Nie mogłem wyrzec jednego słowa, aby ich do gwałtownego śmiechu nie pobudzić, tak bardzo przypadłem im do serca. Gdym odjeżdżał, zalewali się wszyscy gorzkimi łzami i żądali, abym pozostał. Gotowi byli nawet

<sup>132</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>klnąc — dziś popr.: kłać. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>dowcip (daw.) — inteligencja, spryt, rozum. [przypis edytorski]

powierzyć mnie jednemu wykład medycyny dla wszystkich studentów, aliści ja nie chciałem tego, śpieszyłem się bowiem do majątności mej tutaj, która jeszcze do pradziadów moich należała.

— No i cóż? Jakże ci się wydaje? — rzekł Bruno do Buffalmarca. — Nie chciałeś wierzyć, gdym ci o doktorze opowiadał. Na mą duszę, nie ma w całym mieście doktora, który by się tak dobrze znał na oślej urynie jak nasz medyk. Bądź pewien, że aż do bram Paryża drugiego takiego mędrca nie znajdziesz. Spróbuj mu się teraz oprzeć i postaraj się do jego prośby nie przychylić.

— Bruno — odrzekł na to doktor — szczerą prawdę mówię. Nie poznali się tutaj na mnie, bowiem naród wasz jest nadto gruby. Gdybyście ujrzeli mnie między doktorami, przekonalibyście się lepiej, kto jestem.

— Zaiste, mistrzu — odparł Buffalmarco — wiecie jeszcze więcej, niż sądziłem. Dlatego też odzywam się do was tak, jak do dostojnego męża odzywać się należy, i oświadczam, że wszelkiego starania dołożę, aby was wkrótce przyjęto do towarzystwa naszego.

Po tej rozmowie i otrzymanym od Buffalmarca przyrzeczeniu doktor począł jeszcze częściej dwóch malarzy ugaszczać. Wbijali mu oni do głowy najdziksze bzdury, obiecując, że sprowadzą dlań grabinę Latrynę, najpiękniejszą istotę na tyłach rodu ludzkiego.

Zaciekawiony doktor zapytał, kto zacz jest owa grabini?

— Ach, moja ty tytkwo — zawołał Buffalmarco — jest to wielce godna pani i zaiste mało się znajduje na całym świecie takich domów, nad którymi by ona jurysdykcji nie miała, nie mówiąc już o tym, że nawet sami ojcowie minoryci<sup>137</sup> hołdy jej składają i na cześć jej pukają z moździerzy. Ma także i tę własność, że gdy koło jakiegoś miejsca przechodzi, wonią niechybnie się zdradza. Niedawno właśnie w nocy przeszła koło moich drzwi, udając się do rzeki Arno dla obmycia nóg i odetchnięcia świeżym powietrzem. Najbardziej lubi w odosobnionych miejscach przebywać, ale właściwym miejscem jej zamieszkania jest Latryna. Milicja jej kręci się wszędzie; poznacie ją po miotle i sznurze z ołowianą gałką, herbie tej pani. Wasalów jej także na świecie pełno; dość wymienić pana Fajda, Don Kupkę, panią Biegunkę, nie mówiąc już o wielu innych, których znać ani chybi musicie. W objęcia tej dostojnej damy zaprowadzić was chcemy, jeśli piękna podwika<sup>138</sup> z Śmierdzącej Wólki zawód wam sprawi i jeśli, co rzecz główna, zamysły nasze się udadzą.

Doktor, wychowany od dziecka w Bolonii, nie pojął krotochwilnego<sup>139</sup> znaczenia tych słów i objawił gorącą chęć jak najprędszego poznania owej damy.

Wkrótce po tej rozmowie nasi malarze przynieśli doktorowi radosną wieść, że ma być przyjęty do towarzystwa. W dniu oznaczonym na ceremonię, która się nocą odbyć miała, zaprosił doktor obu swoich przyjaciół na obiad. Gdy go spożyli, zażądał bliższych wyjaśnień co do zachowania się przy dopuszczeniu do tego grona.

— Mistrzu — odparł Buffalmarco — przede wszystkim musicie tęgo się trzymać, bo gdybyście nie dotrzymali placu i stchórzyli, nie tylko cała nasza praca na niczym spełźnie, ale i wielka stąd szkoda dla was powstanie. Zaraz wam powiem, pod jakim względem męstwo owo okazać musicie. Trzeba tedy<sup>140</sup>, abyście wieczorem, gdy wszystkich pierwszy sen zmorzy, znaleźli się na jednym z owych wysokich grobowców, które niedawno koło Santa Maria Novella wystawiono. Musicie się oblec w najpiękniejszy wasz strój dla godnego przedstawienia się po raz pierwszy towarzyszący naszym, a także grabini, która jak nas słuchy doszły, pragnie was, jako szlachcica, którym się mienicie, rycerzem kąpie-li mianować. Na grobowcu tym będziecie czekali, póki się po was posłaniec nie zjawi. Abyście zawczasu na wszystko przygotowani być mogli, wiedźcie, że przybędzie po was czarne, niezbyt wielkie, rogate zwierzę, które skoki ogromne czynić przed wami pocznie chrapiąc i mruczając dla przerażenia was.

<sup>137</sup> *minoryci* (z łac.) — Zakon Braci Mniejszych, katolicka wspólnota zakonna założona w 1209 przez św. Franciszka z Asyżu; franciszkanie. [przypis edytorski]

<sup>138</sup> *podwika* a. *podwijka* — kwef; element stroju noszony przez zamężne kobiety począwszy od wczesnego średniowiecza: biała chusta zasłaniająca włosy, szyję, boki twarzy i część czoła; tu przen.: kobieta. [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *krotochwilny* (daw.) — żartobliwy. [przypis edytorski]

<sup>140</sup> *tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

Gdy się jednak przekona, żeście od trwogi dalecy, zbliży się do was powoli. Wówczas zejździe bez strachu z grobowca i siadajcie spokojnie na kark temu zwierzęciu. Warujcie się<sup>141</sup> jeno wzywać Boga lub świętych Pańskich! Usadowiwszy się wygodnie, załóżcie ręce układnie na krzyż i powierzcie się całkiem zwierzęciu, nie tykając go rękoma. Ruszy ono powoli z miejsca i do nas was przywiezie. Raz jednak jeszcze przestrzec was muszę, że jeśli wspomnicie imię Boga, jakiegoś świętego lub też obawę poczujecie, zwierzę to zrzuci was z siebie albo też wpakuje was w jakieś niezbyt wonne miejsce. Jeżeli tedy nie czujecie dosyć męstwa, to lepiej dajcie temu pokój, bowiem, stchórzywszy, sobie tylko szkodę przyniesiecie, a nam despekt<sup>142</sup> sprawicie.

— Nie znacie mnie jeszcze, przyjaciele moi — odparł doktor. — Wątpicie snadź<sup>143</sup> o mnie widząc, że rękawiczki i długie suknie noszę. Gdybyście jednak wiedzieli, com ja niegdyś nocami w Bolonii wyrabiał, wyszedłszy z towarzyszami na połów białogłów, osłupielibyście ani chybi. Na honor, pewnej nocy jedna z takich dziewcząt iść z nami nie chciała! Mizeractwo to było prawdziwe, ledwie mi do pasa dostające. Opór jej tak mnie oburzył, że obłożywszy ją naprzód porządnie kułakami, chwyciłem ją za ramiona i pchnąłem tak, iż chcąc nie chcąc iść z nami musiała. Innym znowu razem w towarzystwie sługi przechadzałem się wieczorem, nieco po *Ave Maria*, koło cmentarza minorytów, właśnie w dniu, gdy tam pewną białogłową pochowano, i nie bałem się niczego. Nie lękajcie się tedy o mnie, bo odwagi mam raczej za wiele niżli za mało. Co się zaś przyzwoitości tyczy, to dla nieuchylenia jej, włożę na siebie szkarłatną suknię, w której mnie na doktora promowano. Obaczycie, jakie to wrażenie na całym towarzystwie sprawi, i przekonacie się, że wkrótce kapitanem jego zostanę. Wszystko innym trybem u was pójdzie po przyjęciu mnie, zwłaszcza że, jak powiadacie, nie widząc mnie grabini owa tak się już we mnie rozkochala, że mnie kawalerem kąpieli mianować pragnie. A może z tą godnością nie będzie mi do twarzy? Albo może nie dodam jej blasku czy też przeciwnie? Pozwólcie mi tylko działać!

— Dobrze zatem — odparł Buffalmacro — baczcie jeno, abyście nam jakiegoś figla nie wypłatali i abyście na czas we właściwym miejscu się stawili. Wiedząc, że wy, panowie doktorzy, ochraniać swoje cenne zdrowie lubicie, przestrzegam, że noc dziś jest chłodna wielce.

— Niechże mnie Bóg zachowa — zawołał na to doktor. — Nie należą bynajmniej do zmarzluchów i nic sobie z największego zimna nie robię. Gdy mi przyjdzie podnieść się w nocy z łoża dla załatwienia przyrodzonej potrzeby, zarzucam tylko futro na kaftan. Bądźcie tedy spokojni o mnie, stawię się bowiem niezawodnie na miejscu i zaczekam.

Gdy wieczór się zbliżył, doktor, usprawiedliwszy się przed żoną, że tak późno z domu wychodzi, wydobyl ukradkiem odświętną szatę, wdział ją na siebie, a potem, przybywszy na wskazane miejsce, wdrapał się na jeden z grobowców, przycisnął się do marmurowej płyty, bowiem chłodno nie na żarty było, i ją<sup>144</sup> czekać na przybycie rogatej poczwary. Tymczasem Buffalmacro, tęgi i silny człek, postarał się o jedną z owych larw, jakich niegdyś na zabawach, dziś już wyszłych z obyczajów, używano, po czym okrył się cały czarnym futrem, włosom na zewnątrz, tak iż wyglądał jak niedźwiedź. Tylko głowa miała diabelski i rogaty pozór. Tak ustrojony udał się na plac Santa Maria Novella. W niejakiej odległości postępował za nim Bruno, chciał się bowiem przyjrzeć z bliska całej tej historii. Buffalmacro, ujrawszy mistrza na grobowcu, jął dzikie skoki wyprawiać i ogłuszający hałas na placu czynić. Parskał przy tym, wyl, sapał i chrapał jak opętany. Doktor widząc to i słysząc poczuł, że mu włosy dębem stają na głowie, w istocie bowiem tchórzliwszy był od pierwszej lepszej białogłowy. W tej chwili siła<sup>145</sup> dalby za to, aby w domu się znajdować. Ponieważ jednak przybył już na to miejsce, więc też krzepił się<sup>146</sup> jak mógł, tak wielka bowiem była w nim żądza oglądania cudów, znanych mu z opowieści.

Tymczasem Buffalmacro, namiotawszy się do syta, udał, że się uspokoił, po czym zbliżył się do grobowca i stanął przy nim. Doktor szczykał zębami ze strachu i nie wiedział,

<sup>141</sup>warować się (daw.) — tu: pilnować się, wystrzegać się. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>despekt sprawić a. uczynić (daw.) — urazić kogoś, obrazić kogoś. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>krzepić się — wzmacniać się, posilać; tu: pocieszać się. [przypis edytorski]

co począć: wskoczyć na grzbiet zwierzęcia czy też na grobowcu pozostać. Bojąc się jednak, aby mu potwór w wypadku, jeśli na grzbiet jego nie wsiądzie, krzywdy jakiej nie wyrządził, nową trwogą dawną obawę przewycięzył i zszedł z grobowca, szepcząc:

— Boże, nie opuszczaj mnie!

Potem wsiadł na tajemniczego wierzchowca, usadowił się wygodnie na nim i drząc całym ciałem, złożył ręce na krzyż na piersiach, jak mu zalecono.

Wówczas Buffalmacco począł się nieznacznie ku Santa Maria della Scala kierować. Niósł doktora, idąc na czworakach, prawie aż do samego klasztoru mniszek z Ripole. Podówczas znajdowały się w tej okolicy doły, w które właściciele sąsiednich gruntów grabinię Latrynę zrzucić kazali, aby nią potem pola swoje użyźniać. Buffalmacco, zbliżywszy się do tych dołów, przystąpił na brzeg jednego z nich, po czym, wybrawszy stosowną chwilę, schwycił doktora za nogi, strącił go z siebie i wrzucił głowę w dół do jamy, warcząc przy tym, skacząc i wyjąc okrutnie. Po dokonaniu tego bohaterskiego czynu pobiegł na łąkę Wszystkich Świętych. Tam spotkał Bruna, który nie mogąc śmiechu pohamować, aż tutaj się zapędził. Obaj teraz śmiać się poczęli i z udanego figla się cieszyć. Pofolgowawszy sobie nieco, zaczęli się, aby z daleka obaczyć, co doktor uczyni.

Ów poczuwszy, w jak obrzydliwą dostał się jamę, próbował wstać i wydobyć się z niej; dopiero jednak po kilkakrotnym zapadnięciu się to tu, to tam, umazaniu kałem od stóp do głowy i połknięciu sporej jego dawki, obolały, wydostał się na wierzch, utraciwszy kaptur, jęcząc i wściekając się nie na żarty. Wyszedszy oskrobał się rękami, jak mógł najlepiej, a nie widząc innej rady, do domu powrócił. Kołatał tak długo, aż mu wreszcie otwarto.

Zaledwie drzwi się za nim zawarły<sup>147</sup>, już Bruno z Buffalmacco pod nimi stanęli, chcąc się dowiedzieć, jak cuchnącego doktora przyjmie żona. Naraz usłyszeli grad najstraszliwszych obelg i przekleństw, jakich zapewne największy hultaj na świecie nie był nigdy słyszał.

— Ha! — wrzeszczała żona doktora — ha, na mą duszę, jakże się dobrze stało! Zapewne wybrałeś się do jakiejś nierządniczy, a chcąc się jej przypodobać w szkarłatną suknię się przybrałeś. Nie wystarczam ci już tedy<sup>148</sup>, mój skarbie! Całemu ludowi bym wystarczyła, a cóż dopiero tobie!

O, czemuż cię nie utopili, wrzuciwszy tam, gdzie już zostać powinienes! Oto mi doktor na schwał! Ma swoją własną żonę, a nocami za cudzymi żonami się ugania.

Podobnymi przymówkami nie przestawała go dręczyć aż do północy, w czasie mycia, skrobania i czyszczenia, które doktor troskliwie odbywał.

Nazajutrz rano Bruno i Buffalmacco stawili się do domu doktora, pomalowawszy sobie uprzednio skórę pod odzieżą w sinawe pręgi, które na ślady pięści i kija wyglądały. Zastali mistrza już na nogach. Gdy weszli do komnaty, obrzydliwa woń silnie ich w nozdrza uderzyła, dotąd bowiem nie sposób było jeszcze wszystkiego całkiem oczyścić. Doktor, ujrawszy ich, postąpił ku nim i pozdrowił ich uprzejmie. Aliści Bruno i Buffalmacco, zgodnie z uprzednią umową swoją, odpowiedzieli mu na to pozdrowienie z gniewliwą miną:

— Bynajmniej nie życzymy wam dobrego dnia, owszem, błagamy niebo, aby na was, jako na wiarołomnego i obrzydliwego zdrajcę, zesłało tysiąc klęsk i śmierć haniebną. Z waszej to winy, wówczas, gdyśmy się starali o zaszczyty dla was, o mało nas jak psów nie zabito. Dzięki zdradzie popełnionej przez was otrzymaliśmy tej nocy tyle kijów, że mniejszą znacznie ilością razów najbardziej upartego osła do Rzymu zagnać by można było. Nie dosyć na tym! Groziło nam niebezpieczeństwo wygnania z towarzystwa, do którego wprowadzić was chcieliśmy. Jeśli nie wierzycie, przyjrzyjcie się, jak wygląda nasza skóra.

To rzekwszy, rozchylili na piersiach szaty i pokazali posiniaczone farbą piersi swoje, nie dając jednak doktorowi zbyt usilnie się w nie wpatrywać.

Doktor na ten widok chciał się usprawiedliwić i opowiedzieć o swoich przypadkach. Zaledwie jednak wspomniał o wrzuceniu go do jamy, Buffalmacco zawołał:

<sup>147</sup>zawrzeć (daw.) — zamknąć. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]



— Na mą duszę, pragnąłbym, aby was było zrzuciło z mostu do rzeki Arno. Po cóż przyzywaliście Boga i świętych Pańskich? Nie ostrzegaliśmy<sup>149</sup> was?

— Klnę się na Boga żywego, żem ich nie przyzywał — odparł doktor.

— Niewątpliwie nie przypominacie sobie tego, boście drżeli całym ciałem jak osika i nie wiedzieli, gdzie się znajdujecie. Nasz poseł opowiadał nam o tym szczegółowie<sup>150</sup>. Co się stało, już się nie odstanie, ale od tej pory nikt nam nigdy podobnego figła nie spleta. Was zasię<sup>151</sup> uczymy tak, jak na to zasłużyliście.

Na te słowa doktor uderzył w prośby o przebaczenie i zaklął ich na Boga, aby mu wstydu i przykrości nie czynili. Wreszcie udało mu się udobruchać ich potulnymi słowami. Ze strachu, aby wieść o tej przygodzie dalej się przez nich nie rozniosła, począł jeszcze gościnniej obu malarzy przyjmować i różne usługi im wyświadczać.

Oto jak się do rozumu przywodzi tych, co go nie nabyli w Bolonii!”

## OPOWIEŚĆ DZIESIĄTA. OSZUSTKA NA HAK PRZYWIE- DZIONA

*Pewna Sycylijka z nieporównaną zręcznością zawiadnęła towarami kupca, przywiezionymi do Palermo. Kupiec ów udaje, że powrócił do Palermo z jeszcze większym zapasem towarów, po czym pożycza od niej pieniądze, aby ją później na lodzie osadzić.*

Nie trza nawet mówić, jaki śmiech wzbudziła wśród dam opowieść królowej. Nie było takiej słuchaczki, której by od nadmiernego śmiechu nie pokazały się z dziesięć razy łzy w oczach. Gdy królowa skończyła, Dioneo, wiedząc, że na niego teraz kolej przychodzi, rzekł w te słowa:

— Wiadomą jest rzeczą, miłe damy, że żart tym bardziej ludziom do smaku przypada, im bardziej sprytnym jest ten, kogo wystrychnięto na dudka. Dlatego też, chociaż każda z was już piękną historię opowiedziała, ja jeszcze jedną na zakończenie tego dnia przytoczyć pragnę. Powinna się wam podobać bardziej niż każda inna na tej materii osnuta, dlatego że oszukana osoba była sama większą mistrzynią w oszukiwaniu innych niż ktokolwiek z tych, o których była tu mowa.

„We wszystkich miastach nadbrzeżnych, porty posiadających, istniał kiedyś, a może i dziś jeszcze istnieje, obyczaj, zgodnie z którym wszyscy kupcy przybywający z towarami, wyładowawszy je z okrętu, składali swój dobytek do składów. W wielu miejscach taki schów, zwany doganą, należał do gminy albo do pana tych ziem. Oddawszy spis towarów ludziom zawiadującym tymi sprawami i oznaczywszy ceny, kupcy zamykali otrzymane składy na klucz. Celnik, mający zwierzchni nadzór nad portem, wpisywał wówczas do księgi wszystkie towary kupca i żądał później zapłaty w miarę ich odbierania. Dzięki tym księgom faktorzy nierzadko dowiadawali się o ilości towarów, a także, jacy kupcy je przywieźli, po czym już targu dobijano lub zamiany czyniono.

Obyczaj ten istniał też w Palermo na Sycylii, w mieście, co po dziś dzień słynie z wielu białogłów odznaczających się pięknym ciałem, ale nie cnotą. Człek, który ich nie zna, skłonny jest je poczytywać za wielce obyczajne istoty. Białogłowy te gotowe są zedrzyć skórę z każdego mężczyzny. Gdy tylko przybędą cudzoziemscy kupcy, zaraz dowiadują się one z portowej księgi, kto co przywiózł i za ile towar sprzedać może, po czym łaskawymi słowami i płochym obejściem starają się obrócić na siebie uwagę, a wreszcie usidlić kupców swoją miłością. Już wielu ludzi sprowadziły w ten sposób na bezdroża i cały towar z rąk im wyrwały. Zdarzali się i tacy, co zostawili w Palermo nie tylko swoje towary i okręty, ale także i kości, tak zręcznie bowiem te balwierki<sup>152</sup> brzytwą władały.

Przed niedawnym tedy<sup>153</sup> czasem przybył do Palermo pewien młodzieniec florencki, Niccolò da Cignano, Salabaettem przezwany. Na polecenie swoich zwierzchników przy-

<sup>149</sup>nie ostrzegaliśmy — konstrukcja z partykułą że; znaczenie: czy nie ostrzegałem. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>balwierka — żeńska forma od: balwierz; daw. osoba pełniąca funkcje fryzjera, kosmetyczki i pielęgniarza zarazem, zajmująca się goleniem zarostu, stryżeniem włosów, przygotowywaniem kąpeli itp., a także wykonująca pospolite zabiegi, takie jak wyrwanie zębów czy upuszczanie krwi. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

wiół z sobą tak wiele sukna, danego mu na kredyt na jarmarku w Salerno, że mógłby za nie pięćset złotych florenów otrzymać. Zapłaciwszy w porcie za przechowanie, złożył towar do składów i nie śpiesząc się zbyt ze sprzedażą, jał<sup>154</sup> się po mieście przechadzać. Salabaetto był młodzieńcem jasnym, płowym, kształtnym i urodziwym, aliści i letko<sup>155</sup> myślącym, ponieważ życie mu się uśmiechało. Zdarzyło się, że jedna z tych balwierek, o których wyżej wspomnieliśmy, imieniem Jancofiore, usłyszawszy o nim, obróciła nań uwagę swoją. Salabaetto spostrzegł to i imaginując sobie, że ma do czynienia z jakąś znaczną damą, postanowił ją olśnić urodą swoją i grą miłosną chytrze przeprowadzić.

Nikomu nic o damie nie mówiąc, począł się przechadzać pod jej oknami. Zalotnica spostrzegła to wkrótce. Przez kilka dni zapalała go oczyma, czyniąc pozór, że schnie z miłości doń, po czym posłała do niego tajnie jedną ze swych służek, wytrawną rajfurkę. Służka niemal ze łzami w oczach po długim kołowaniu wyznała Salabaettowi, że pani jej nie może zaznać spokoju we dnie ani w nocy, ponieważ za jego sprawą w miłosną niewolę popadła. Dlatego też niczego tak na świecie nie pragnie, jak zejść się z nim tajnie w pewnej łaźni. Po czym wyjąwszy z zawiniątka piękny pierścień wręczyła go Salabaettowi w imieniu swej pani. Młodzieniec, wysłuchawszy tych słów, niezmiernie się uradował, schwycił pierścień, a nasyciwszy nim oczy i ucałowawszy go, nasunął go na swój palec i odparł służce, że madonna Jancofiore jego wzajemność posiada, ponieważ on, Salabaetto, miłuje ją nad życie. Gotów będzie pójść za nią wszędzie, gdzie tylko mu rozkaże, i o każdej porze.

Służka zaniósła ten respons<sup>156</sup> swej pani. Salabaetto wkrótce dowiedział się, że następnego popołudnia ma czekać na swoją damę w łaźni. Nic nikomu nie mówiąc, przybył tam w oznaczonym czasie. Łaźnia była już przez damę zamówiona. Po chwili zjawiły się dwie służki. Jedna z nich niosła na głowie materac, puchem nabity, druga wielki kosz z różnymi rzeczami. Położywszy materac na ozdobnym łożu, stojącym w jednej z komnat łaźiebnych, rozesały na nim najcieńsze prześcieradła z jedwabną obszywką i śnieżnobiałe pokrycie z tkaniny cypryjskiej, na które rzuciły dwie haftowane misternie poduszeczki. Po czym rozebrawszy się, weszły do łaźni, oporządziły ją i pięknie wymyły. Po pewnym czasie zjawiła się sama Jancofiore, otoczona przez dwie inne służebne. Obaczywszy Salabaetta rzuciła się ku niemu z oznakami niepohamowanej radości. Objęła go, ucałowała i wdychając ciężko, wreszcie rzekła:

— Nie wiem, kto by mnie mógł przywieść do tego stanu krom<sup>157</sup> ciebie. Rozgorzałam całą duszą dla cię, srogi mój Toskańczyku!

Po czym zgodnie z jej życzeniem nago weszli do łaźni, a wraz z nimi dwie służki. Tam, nie pozwalając służkom dotknąć się Salabaetta, wymyła go mydłem goździkowym, a następnie sama kazała się wymyć służkom. Służki przyniosły dwa cienkie, białe prześcieradła, od których biła tak silna woń jak od świeżych róż. Jedna ze służek zawięła w prześcieradło Salabaetta, druga damę; po czym zaniósły ich na przygotowane łoże. A gdy osuszyli się, po zdjęciu wilgotnych prześcieradeł przez służki, spoczywali nago na posłaniu. Po chwili służki wydobyły z kosza wspaniałe srebrne flakony, napełnione wodą różaną, pachnidłem jaśminowym i pomarańczową esencją. Spryskały ich tymi pachnidłami, a potem przyniosły pudła ze słodyczami i butle najprzedniejszego wina, którym miłośnicy się pokrzepili. Salabaettowi zdawało się, że się w raju znajduje. Tysiąc razy spoglądał na damę, która była dlań w tej chwili najpiękniejszą na świecie białogłową. Każda godzina oczekiwania była dlań dłuższą od stu lat. Pragnął, aby służki oddaliły się jak najprędzej i aby mógł się wreszcie znaleźć w objęciach damy. Wreszcie, zgodnie z wolą damy, służki oddaliły się, ostawiając w komnacie zapaloną pochodnię. Salabaetto porwał damę w ramiona i nie wąpiąc ani chwili, że rozgorzała ku niemu miłością bezmierną, zapamiętał się długo w rozkoszy. Po pewnym czasie zalotnica oznajmiła, że już pora wstawać; wezwała przeto służki, które ich ubrały. Pokrzepiwszy się nieco słodyczami oraz winem i umywszy ręce pachnącą wodą, miłośnicy jęli się do drogi zbierać. Przy pożegnaniu dama rzekła:

<sup>154</sup>jał (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>letko (daw., gw.) — lekko. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>respons (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

— Jeślibyś zechciał przyjść do mnie dziś wieczorem na wieczerzę i na nocleg, byłabym szczęśliwa niezmiernie.

Salabaetto, zachwycony urodą damy, jej udaną przywilnością ujęty, a przy tym twardo przekonany, że ona go miłuje nad wszystko w świecie, rzekł:

— Każde twoje życzenie jest świętością dla mnie. Dlatego też dzisiaj, jak zawsze, gotów jestem wypełnić wszystko, czego zapragniesz.

Dama po powrocie do domu kazała przybrać godnie swoją komnatę i przygotować wspaniałą wieczerzę. Po czym zaczęła oczekiwać na Salabaetta, który nadszedł o zmroku i został powitany z radością. Po spożyciu dobrze zastawionej wieczerzy przeszli do sypialnej komnaty. Tutaj Salabaetto poczuł rozkoszną woń drzewa aloesowego i różnych pachnideł i obaczył wspaniałe łoże, a także bogate tkaniny na ścianach wiszące. Widząc te szczegóły, do tej myśli przyszedł, że ma do czynienia z bogatą i znamienitą damą.

Chociaż więc doszło już do uszu jego kilka niepochlebnych o niej postuchów, przecie żadną miarą wiary dać im nie chciał. Gdyby nawet i był zdolny uwierzyć, że tego lub innego w pole wywiódł, co do siebie nie wątpił, że z nim tak nie postąpi. Spędził tedy tę noc przy niej, pełen radości, i mocniejszym jeszcze płomieniem rozgorzał. Gdy świt zabłysnął, dama opasała go na pożegnanie pięknym i wielce misternym pasem srebrzystym, przedziwną sakiewką na pieniądze opatrzonym, i rzekła:

— Mój najdroższy Salabaetto, zachowaj wiecznie miłość do mnie i wiedz, że w każdej chwili jestem na twoje usługi i że wszystko, co tutaj widzisz i co tylko osiągnąć mogę, jest do twego rozporządzenia.

Salabaetto uściskał ją, rozczulony, ucałował i pożegnawszy się z nią, pośpieszył tam, gdzie się kupcy zbierali.

Młodzieniec nieraz jeszcze z wdzięków damy korzystał, nie wydając na te miłosne igraszki ani złamanego szeląga i coraz gorętszym afektem dla niej się przejmując. Tymczasem udało mu się zbyć za pieniądze towar przywieziony i znacznie przy tym zarobić. Zalotnica wnet dowiedziała się o tym od trzech osób. Pewnego tedy<sup>158</sup> wieczora, gdy Salabaetto przybył do niej na dłużej, zręczna białogłowa jęła<sup>159</sup> wysilać całą przebiegłość swoją. Szczebotała do niego, żartowała, okrywała go nieustannie pocałunkami i nie puszczając go z objęć swoich, czyniła pozór tak zakochanej, iż przysiągłbyś, że z nadmiaru miłości skona w jego objęciach. Wśród tych pieszczot chciała go zmusić do przyjęcia w podarunku dwóch srebrnych pucharów, aliści Salabaetto nakłonić się do tego nie dał, zrachowawszy bowiem wartość podarunków dotychczas otrzymanych, poznał, że przenoszą one sumę trzydziestu dukatów, gdy tymczasem ona od niego nawet drobnostki wartości grosza przyjąć dotychczas nigdy nie chciała. Gdy zalotnica dowodami miłości i szczodrobliwości naszego młodzieńca w uniesienie wprawiła, weszła jedna z jej służek, dobrze poprzednio wyuczona, i pod pokrywką jakiejś sprawy damę z komnaty wywołała. Za chwilę powróciła dama do kochanka, ale w jakże odmienionym stanie! Tonąc w gorzkich łzach i jęcząc, rzuciła się twarzą na łoże i najboleśniej skargi, jakie kiedykolwiek z kobiecej piersi wyszły, rozwodzić poczęła. Salabaetto, wzruszony i zdziwiony srodze, porwał ją w ramiona, zmieszał swoje łzy z jej łzami i zawołał:

— Biada mi! O serce mojego serca, co ci tak nagle dokuczać poczęło? Jakież być może powód twej boleści? Powiedz mi, duszo moja!

Zalotnica długo prosić się dała, wreszcie rzekła:

— O mój najdroższy panie, nie wiem, wierę<sup>160</sup>, co czynić ani co mówić. W tej chwili właśnie otrzymałam list z Mesyny, w którym brat mój pisze, że za tydzień najdalej muszę mu tysiąc dukatów przysłać, choćbym miała sprzedać i zastawić w tym celu wszystko, co posiadam, inaczej bowiem da gardło. Nie wiem, co począć. Skądże ja tak prędko podobną sumę wezmę? Gdybym miała choć czternaście dni czasu, to potrafiłabym wydostać te pieniądze od człeka, który mi jest znacznie więcej winien, albo też sprzedałabym jedną z posiadłości naszych. Cóż pocznę jednak teraz, gdy mnie czas nagli? Och, bodajbym umarła pierwej, nim ta smutna wiadomość do rąk moich doszła.

To rzekłszy, od nowa głośnym płaczem wybuchnęła, jak gdyby całkiem ją ta troska przybiła.

<sup>158</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

Salabaetto, którego namiętność przyrodzonej rozważi pozbawiła, biorąc lzy i słowa kochanki swojej za rzetelne, zawołał:

— Madonno, tysiącem, zaiste, służyć wam nie mogę, ale pięćset dukatów w każdej chwili pożyczyc wam gotów jestem, zwłaszcza że, jak powiadacie, będziecie mi je mogli oddać po dniach czterestu. Prawdziwe to szczęście dla was, że właśnie wczoraj towar mój sprzedalem. Gdyby nie ten szczęśny przypadek, ani grosza nie byłbym wam mógł pożyczyc.

— O ja nieszczęśliwa! — wykrzyknęła zalotnica na to — więc brakowało ci pieniędzy? Przeczże nic o tym nie mówiłeś i nie żądałeś ich ode mnie? Nie tysiąc wprawdzie, ale sto lub dwieście dukatów byłabym ci natychmiast pożyczycła. Postępkim swoim odjąłeś mi niestety możność przyjęcia przysługi, z jaką się ofiarujesz.

Salabaetto, tym nowym dowodem tkliwości jeszcze bardziej otumaniony, odparł:

— Nie bierzcie stąd pochopu do dalszego oporu, madonno! Gdybym się znalazł w tak ciężkiej potrzebie, jak wy dzisiaj, niewątpliwie udałbym się był do was o pomoc.

— O mój Salabaetto — rzekła zalotnica — teraz dopiero dowodnie przekonuję cię, iż miłość twoja do mnie prawdziwą jest i szczerą, skoro nie czekając, aż cię sama poproszę, tak wielką sumą pieniędzy chcesz mnie w ciężkiej potrzebie wspomóc. Wierzę, i bez tego cała do ciebie należałam, teraz jednak, po tym postępkim, tym bardziej twoją własnością się staję. Nie zapomnę także nigdy, że ci życie brata mego zawdzięczam. Bóg jeden wie, z jaką niechęcią te pieniądze biorę, zwłaszcza gdy pomyślę, że kupcem jesteś i że kupcy ciągle pieniądze do prowadzenia różnych spraw potrzebują. Jedynie dla tej racji, że potrzeba mnie uciska i że mam nadzieję nieomylną, iż w krótkim czasie dług mój uiszczę, pomoc twoją przyjmuję i zabezpieczam ją na wszystkim, co tutaj widzisz.

Rzekłszy te słowa, rzewliwymi łzami się zalała i rzuciła mu się w ramiona. Salabaetto, widząc ją tak rozrzewnioną, ze wszystkich sił pocieszyć ją się starał. Przepędziwszy noc w jej domu, rankiem następnego dnia, na dalsze wezwania nie czekając, przyniósł jej pięćset błyszczących dukatów, które ona z śmiejącym się sercem i łzawymi oczyma przyjęła. Rzecz oczywista, że nie było mowy o wekslu lub o jakimkolwiek obliżu. Salabaetto poprzestał na prostej obietnicy.

Aliści ledwie zalotnica pieniądze do rąk pochwyciła, inne dla Salabaetta czasy się zaczęły. Dawniej miał wolny przystęp do jej domu, ile razy mu się to tylko podobało, teraz zaczęły się pojawiać jakieś nieustanne przeszkody, wskutek których ledwie raz na siedem razy dostać mu się do niej udawało, ale i wtedy nawet nie witano go z takim uniesieniem i nie przyjmowano z podobną radością jak pierwej. Tymczasem czas oznaczony na zwrócenie pieniędzy nie tylko się przybliżył, ale nawet miesiąc, a potem i drugi po terminie upłynął. Ilekroć Salabaetto ośmielił się skromnie o dług napomknąć, piękne słówka miast<sup>161</sup> pieniędzy otrzymywał. Wówczas dopiero przejrzał chytry zamysł białogłowy i o swojej łatwowierności się przekonał, a zarazem pojął, że w tej całej sprawie nic nie wskóra, nie mając kwitu ani świadków. Zresztą płonął wstydem na samą myśl użalenia się przed kimkolwiek dla tej przyczyny, że go zawczasu przestrzegano, a poza tym i dlatego, że spodziewał się jedynie drwin zasłużonych.

Niepomiernie przygnębiony opłakiwał w samotności swoją nierozwagę. Tymczasem, na domiar nieszczęścia, przełożeni pisali list za listem, aby im pieniądze za sprzedane towary przysłał, bowiem ich koniecznie potrzebują.

W tym stanie rzeczy, nie mogąc ich prośbie zadość uczynić, postanowił Salabaetto błąd swój przynajmniej jak najprędzej ukryć i śpiesznie odjechać. Wsiadł tedy na mały okręt i popłynął na nim nie do Pizy, jak był powinien, ale do Neapolu.

W Neapolu żył podówczas jeden z ziomeków naszych, Pietro del Canigiano, będący skarbnikiem cesarzowej Konstantynopola, mąż wielkiej bystrości i rozważi, a przy tym ścisły Salabaetta i jego rodziny przyjaciel. Jemu więc, jako człowiekowi ze wszech miar zaufania godnemu, zwierzył się po upływie kilku dni Salabaetto. Jęcząc i lamentując, rozpowiedział szczegółowie o wszystkim, co był uczynił, i o tym, jakie go nieszczęście spotkało, oraz błagał o radę i pomoc. Oświadczył przy tym, że do Florencji już nigdy powrócić nie zamierza. Canigiano, wielce nierad temu, co usłyszał, odparł:

<sup>161</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

— Źleś uczynił, źleś postąpił, źleś przełożonym swoim wierności dochował! Zbytek pieniędzy na raz dla swojej przyjemności wydałeś. Ale po co tu dłużej gadać po różnicy! Co się stało, już się nie odstanie, a teraz radźmy, jakby zło naprawić.

Zaczęli się tedy naradzać i wkrótce Pietro, jako człek nie w ciemną bity, wpadł na myśl, jakby nieszczęściu zapobiec, po czym odkrył swój zamiar Salabaettowi, któremu tak się on podobał, że nie mieszkając<sup>162</sup> urzeczywistnić go postanowił. Miał jeszcze trochę pieniędzy przy sobie: resztę pożyczył mu Canigiano. Zebrało się tyle grosza, że Salabaetto mógł kupić wiele dobrze związanych worów i dwadzieścia beczulek na oliwę, które napełnił; po czym z całym ładunkiem do Palermo powrócił. Wjeżdżając do miasta, podał celnikom spis worów i beczek oraz ich cenę; kazał je wszystkie na swój rachunek zapisać, złożył cały ładunek w porcie i oświadczył, że nie ruszy nic z tych towarów, póki inne, na które czeka, nie nadejdą.

Wiść o przybyciu Salabaetta doszła od razu do madonny Jancofiore, która usłyszawszy, że towary, które Salabaetto przywiózł, dwa tysiące dukatów, a może i więcej wartają<sup>163</sup>, nie licząc tych, co dopiero są w drodze, a które na z górą trzy tysiące ceniono, do tej myśli przyszła, że jeszcze lepiej obłowić się będzie mogła i większą część pięciu tysięcy zagarnie, jeśli mu teraz owych pięćset dukatów zwróci. Z tą myślą posłała po niego. Salabaetto, którego już nie darmo raz na hak przywiedziono, przybył śpiesznie. Zalotnica ujrawszy go, udała, że nie wie bynajmniej, co przywiózł ze sobą, i okazując wielkie ukontentowanie zawołała:

— Ach, jesteś wreszcie! Jakżeś musiał gniewać się na mnie, że ci pieniędzy w oznaczonym czasie nie oddałam!

Salabaetto miast<sup>164</sup> odpowiedzi śmiać się począł, a po chwili rzekł:

— W samej rzeczy, madonno, trochę mnie to dotknęło, bo wyjąłem sobie pieniądze spod serca, aby się wam przysłużyć, wy zasię<sup>165</sup> tymczasem... Aliści zaraz się przekonacie, czy na was gniewać się potrafię. Miłość moja do was była tak wielka i silna, iż skłoniła mnie do sprzedania większej części moich posiadłości i zakupienia za te pieniądze towarów, których dotąd przywozłem więcej niż za dwa tysiące dukatów. Obecnie czekam jeszcze na przesyłkę wartości trzech tysięcy dukatów. Mając taki zasób towarów, otworzę tutaj sklep, aby już nigdy od was oddalać się nie potrzebować, miłość wasza bowiem droższa jest mi nad życie, a tak niezbędna, jak powietrze do oddychania.

— Salabaetto — odrzekła na to dama — to wszystko, czego ty pragniesz i co uczynisz, zawsze mi jest miłe i ja bowiem kocham cię nad życie. Najmilszą jednak jest mi wieść, żeś powrócił, aby się tutaj osiedlić, gdyż będę mogła niejedną jeszcze uroczą godzinkę z tobą spędzić. Przede wszystkim muszę jednak usprawiedliwić się przed tobą, że przed odjazdem nie przyjąłem cię kilka razy w swym domu lub że przyjąwszy, nie tak jak zazwyczaj uprzejmą i tkliwą dla ciebie się okazałam. Także chcę ci wyjaśnić, dlaczego ci pieniędzy w oznaczonym nie oddałam terminie. Otóż trzeba ci wiedzieć, że podówczas byłam pogrążona w wielkiej boleści i zmartwieniu głębokim. Kto w takim stanie się znajduje, mimo całej miłości do kochanka, nie zawsze może mieć dlań uśmiechnięte oblicze i tyle mu uwagi okazywać, ile by mu się słusznie należało. Co się zaś owych pieniędzy tyczy, to łatwie<sup>166</sup> chyba pojmujesz, że z trudnością przychodzi białogłowie oddać pięćset dukatów, jeśli ci, którym pożyczyła, słowa jej nie dotrzymują. Oszukali mnie różni ludzie i tym sposobem kłamczyńię ze mnie uczynili. Dopiero wkrótce po odejździe twoim odebrałam pieniądze; gdybym była wiedziała, gdzie je odesłać, bądź pewien, że nie byłabym zwlekała ani chwili dłużej. Aliści nie znałam miejsca twego pobytu i dlatego też u siebie pieniądze przechowałam.

To rzekłszy, kazała przynieść woreczek, ten sam, który Salabaetto kiedyś jej wręczył, i oddając mu go rzekła:

— Policz, czy jest pięćset.

<sup>162</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>wartają (daw.) — są warte. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>łatwie — dziś popr. forma: łatwo. [przypis edytorski]

Salabaetto nigdy w życiu nie doznał większej radości jak w tej chwili. Pohamował się jednak, przeliczył spokojnie dukaty, przekonał się, że jest ich pięćset, schował kieskę i rzekł:

— Madonno, wierzę najświęciej w słowa wasze. Jestem całkiem ukontentowany, bo wiem, że uczyniliście wszystko, co uczynić byliście obowiązani. Bądźcie upewnieni zatem, że dla tego i dla miłości, jaką dla was żywię, gotów będę służyć wam taką sumą, jaką rozporządzać mogę, na jakikolwiek cel byście jej ode mnie zażądali. Zechciejcie mnie tylko na próbę wystawić.

W taki sposób dawna ich miłość, w słowach przynajmniej, na nowo zawiązana została i Salabaetto rozpoczął znów z zalotnicą poufały i tkliwy stosunek, doznając od niej ciągłych objawów czci i miłości najgorętszej. To go jednakże nie mogło skłonić do porzucenia myśli o odwecie. Owszem, postanowił równą miarką damie zapłacić. Pewnego tedy<sup>167</sup> dnia, gdy zalotnica posłała po niego, zapraszając go na wieczerzę i nocleg, zjawił się, aliści tak zrozpaczony i pomieszany, iż zdawało się, że przytomność utracił. Jancofiore uściśnęła go i tkliwie badać poczęła, co ten smutek oznacza. Salabaetto długo dał się prosić, wreszcie, jakby był jej czułością zwyciężony, rzekł w te słowa:

— Jestem zgubiony! Okręt, którego czekałem, a na którym znajdowały się towary, wpadł w ręce korsarzy z Monaco. Oddadzą je za wykupem dziesięciu tysięcy dukatów, z czego na mnie tysiąc przypada. Tymczasem nie mam ani złamanego szeląga przy duszy, te bowiem pięćset dukatów, które mi oddaliście, posłałem natychmiast do Neapolu, aby za nie materii lnianej zakupiono. Gdybym chciał w tej chwili sprzedać towary, znajdujące się w porcie, dostałbym za nie zaledwie pół ceny, jeszcze bowiem na sprzedaż ich stosowna pora nie nadeszła. Pozostaje mi więc tylko pożyczyc. Nie jestem tutaj jednakże jeszcze dość znanym człkiem, abym mógł znaleźć kogoś, co by mnie w potrzebie poratował. Nie wiem tedy, jak złu zaradzić ani gdzie się obrócić. Jeżeli nie wyślę zaraz tych pieniędzy, towary moje dostaną się do Monaco i wówczas już nic z nich nie obaczę.

Wiadomość ta dotknęła zalotnicę nader niemile, bowiem dzięki niej wszystkie jej zamysły wniwecz się obracały. Dama poczęła rozważać, jakiego by w danym razie użyć środka dla zaradzenia złu, i rzekła:

— Bóg wie, jak cierpię, widząc twoje zmartwienie. Na cóż jednak zda się tu rozpacz? Trzeba radzić. Gdybym miała pieniądze, klnę się na mą duszę, że pożyczylabym ci je natychmiast, aliści tak wielkiej sumy nie posiadam. Znam jednakże pewnego człeka, który mi niedawno pożyczył kilkaset dukatów, do owego tysiąca brakujących, ale ten lichwiarz żąda ogromnego procentu, nie mniej niż trzydzieści od sta. Jeślibyś chciał pożyczyc od niego, to musisz mu dać jakiś dobry zastaw. Co się mnie tyczy, to gotowa jestem dać mu jako porękę wszystko, co posiadam, wraz z sobą na przydatek, o ile tylko pożyczyc zechce. Aliści w razie, gdy to nie wystarczy, na czym mu resztę zabezpieczysz?

Salabaetto odgadł od razu, jaka pobudka skłania ją do uczynienia mu tej przysługi. Młodzieniec nie wątpił ani na chwilę, że owym tajemniczym lichwiarzem jest ona sama. Była to właśnie woda na jego młyn. Dlatego też naprzód korny dank<sup>168</sup> jej złożył, a następnie rzekł, że w tak ciężkiej jak obecna potrzebie największy procent zapłacić jest gotów. Co się rękojmi tyczy, to oświadczył, że towary złożone w porcie każe przenieść na nazwisko tego, kto mu pieniędzy pożyczyc, i tylko klucz od schowu przy sobie zostawi, aby w razie wezwania mógł kupcom towary pokazać i aby mu niczego nie poruszono lub nie przemieniono przypadkiem.

Zalotnica odparła, że ta rękojmia całkiem wystarczająca jej się wydaje; po czym rozstali się z sobą. Nazajutrz sprytna nasza dama posłała rankiem po zaufanego człeka, opowiedziała mu rzecz całą i wręczyła tysiąc dukatów, które on natychmiast Salabaettowi zaniósł. Salabaetto zasię ze swej strony wszystkich towar, złożony w porcie, na jego imię przenieść kazał. Zamieniwszy rewersa rozstali się w zgodzie i każdy z nich za swymi sprawami się udał. Aliści Salabaetto niedługo już w mieście bawił. W kilka godzin potem wsiadł na mały statek z tysiącem pięćset dukatów w kieszeni i powrócił do Neapolu do Pietra del Canigiano, skąd ścisły rachunek za sprzedany towar odesłał do Florencji na ręce przełożonych, którzy go z sukmem wyprawili.

<sup>167</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>dank (daw., z niem.) — podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

Zwróciwszy Pietrowi i innym wierzycielom ich należności, za resztę pieniędzy, podstępnie od chytrej Sycylianki wyludzonych, niejeden jeszcze wesoły dzień z Canigianem spędził. Po czym, odrzekłszy się kupiectwa, do Ferrary odjechał. Tymczasem w Palermo Jancofiore, nie mogąc Salabaetta odnaleźć, dziwić i niepokoić się poczęła. Gdy dwa miesiące minęły, a jego wciąż jeszcze widać nie było, kazała za pośrednictwem swego zaufanego czelaka drzwi, wiodące do składów, wyłamać. Naprzód otworzono beczułki, rzekomo oliwą napelnione, i znaleziono je pełne wody morskiej, nad którą około garnca oliwy pływało. Po czym rozpruto wory i przekonano się, że wszystkie — z wyjątkiem dwóch, zawierających w sobie ńędzne gatunki materii — pakułami nabite były.

Słowem, wszystkie towary wartości dwustu dukatów nie przenosiły. Teraz dopiero poznała Jancofiore, że ją na hak przywiedziono, i długo nie mogła utulić żalu za pięciuset dukatami, które oddała, a także za tysiącem, który pożyczyła. Wzdychając ciężko, powtarzała nieraz: »Kto z Toskanem sprawę toczy — niech otwiera dobrze oczy«.

Tak oto przebiegła oszustka odniosła od razu wstyd i szkodę, przekonawszy się pierwej, że trafia czasem kosa na kamień”.

Gdy Dioneo opowiadanie swoje zakończył, Lauretta widząc, że czas jej rządów minął, pochwaliła wielce skuteczną radę Piotra del Canigiano oraz nie mniejszy spryt Salabaetta, po czym, zdjawszy z głowy swojej laurowy wieniec, włożyła go na skronie Emilii i w te słowa rzekła:

— Nie wiemy jeszcze, madonno, czy łaskawą królowę w tobie mieć będziemy, że piękną jednakóż, o tym wątpić nam nie lza<sup>169</sup>. Staraj się przeto, aby czyny twoje z wdziękami twymi zrównać można było.

Rzekłszy te słowa, na dawnym swym miejscu zasiadła.

Emilia, nie dla tej racji, że ją na królowę wyniesiono, ale dlatego że wobec wszystkich pochwalono w niej to, co kobiety szczególnie posiadać pragną, splonęła rumieńcem i stała się podobna do wczesnych róż, promieniami świtu zalanych. Trzymała oczy tak długo spuszczone, aż rumieniec nie zniknął, po czym wezwała marszałka, wydała mu potrzebne zarządzenia i wreszcie rzekła w te słowa:

— Wiemy wszyscy, urocze towarzyszki, że wołom, które w jarzmie przez znaczną część dnia chodzą, wieczorem daje się pełną swobodę, tak aby się do woli na błoniach paść mogły. Widzimy także, że ogrody, gdzie różne rośliny kwitną, nie mniej są piękne, owszem piękniejsze nawet od borów, w których same tylko dęby rosną. Dla tych to przyczyn sądzę, że i nam, tak długo już w nakreślonych prawem granicach snuć nasze opowiadania zmuszonym, a również i pokrzepienia potrzebującym, nim nowego jarzma na się nie weźmiemy, pewna swoboda dla nabrania sił nie tylko pożyteczna, ale i pożądana będzie. Jestem tedy zdania, że jutro, przyjemne opowieści nasze dalej prowadząc, do jednej materii ograniczać się nie powinniśmy. Niechaj każdy opowiada, o czym mu się podoba. Żywię tę pewność niezachwianą, że różnorodność materii, którą opowiadający się zajmą, nie mniej sprawi nam ukontentowania od opowiadań jednej tylko sprawie poświęconych. Na ten raz spróbujmy tego, a potem następcą mój, który po mnie władzę sprawować zacznie, z tym większą surowością będzie nas mógł zwyczajnymi ograniczyć prawami.

To rzekłszy, rozpuściła wszystkich aż do obiadowej pory. Wszyscy pochwalili mowę królowej, jako mądrą, po czym powstawszy z miejsc, oddali się ulubionym rozrywkom swoim. Damy zajęły się wiciem wieńców i różnymi igraszkami, młodzieńcy zaś<sup>170</sup> grą i śpiewem. Gdy na wieczerzę wezwano, zasiedli wszyscy dokoła fontanny, po czym zaczęli z wielką wesołością potrawy spożywać. Po wieczerzy, jak zwykle, śpiewem i płasami się bawili.

Królowa, chcąc pozostać wierną obyczajowi poprzedników swoich, nie bacząc na pieśni, które bez jej nakazu już odśpiewali, wezwała Panfila, aby jakąś piosenkę zanucił. Ten, pełen prawdziwej ochoty, w te słowa zaczął:

Ponieważ cały należę do ciebie,

<sup>169</sup>nie lza (daw.) — nie można. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]



Więc mnie tak hojnie obdarzasz, Amorze,  
Że ledwie serce to wytrzymać może.  
Ten zbytek szczęścia, co mnie pieści,  
Rozkoszy, którą czuję w duchu,  
Rzeczywistości wraz z nadzieją  
Ledwie się w piersiach mych pomieści,  
Zdradza się w każdym moim ruchu,  
W licach, co się słonecznie śmieją  
I chociaż milczą, rzec umieją,  
Że nad miłości tchnienie boże  
Więszszego szczęścia ziemia dać nie może!

Daremnie pragną moje pieśni  
Wyrazić pełnię uczuć całą;  
Wyspiewać, zwierzyć ich nie mogę,  
Skrywać je muszę w serca cieśni,  
Bo gdyby się to jawnym stało,  
Rozkosz się zmieni w męki srogie —  
A dziś zachwyty me tak mnogie,  
Że sto języków w ciągłym rozhoworze  
Nigdy ich wszystkich wyliczyć nie może.

Któż by pomyślał, że tą dłonią  
Tuliłem ją do serca drżący,  
Ją, która wszystkim mi na ziemi!  
Że usta do ust, skroń ze skronią,  
Na wszystko w świecie głusi, niemi,  
W uścisk spłynęliśmy gorący,  
Szalony, długi, słodki, wrzący?  
Nikt nie uwierzy — w tym mój triumf, Amorze,  
Nikt mi więc szczęścia zamącić nie może!

Piosnka Panfila skończyła się. Wszyscy, którzy jej wtórowali, z największą uwagą słuchali jej treści i bardziej może, niż przystało, starali się odgadnąć to, co śpiewak — jak zaręczał — tak starannie ukryć się starał. Mimo licznych domysłów, nikt jednak prawdy nie odgadł. Wkrótce potem królowa, widząc, że wszystkim przytomnym<sup>171</sup> już sen oczy skleja, całe towarzystwo do sypialnych komnat odpuściła.

*Tu zamyka się ósmy dzień Dekameronu i zaczyna dziewiąty, w którym pod przewodem Emilii każdy opowiada o tym, co najbardziej mu się podoba i szczególnie przypada do smaku.*

---

<sup>171</sup>przytomni (daw.) — tu: obecni (przy czymś), zebrani. [przypis edytorski]

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dekameron-dzien-osmy>

Tekst opracowany na podstawie: Giovanni Boccaccio, Dekameron, tłum. Edward Boyé, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Aleksandrę Sekułę. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Paulina Ohtusek, Wojciech Kottwica.

Okładka na podstawie: karol m@Flickr, CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).